



ODGŁOSY

★ Helena Waszkiewicz — MAGIA I SŁOWO ★ Jerzy Wilmański — CO TO JEST PORNOGRAFIA? ★ Georges Simenon — WIEZIENIE ★ Janusz Zagrodzki — ŚWIAT W NISZCZYCIELSKIEJ MASZYNIE ★ Anna Kuligowska — ELEKTRA PO LATACH ★ OPOWIADANIA WĘGIERSKIE ★ FELIETONY ★ RECENZJE ★ SEX W LITERATURZE ★

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

DWÓCH URATOWANYCH

Chłopak prosi, abym nazywał go Sebastianem. Nie jest to jego prawdziwe imię, ale przywykł do tego imienia i żałuje, że rodzice przypisali mu inne. Jest wysoki, szczupły. W tłumie czuje się zagubiony i twierdzi, że nie ma dość sił, aby zdobyć w tym życiu cokolwiek. Nie wie zresztą, jaki cel mógłby przed sobą postawić i dążyć do niego. Do niedawna wszystko było w zasadzie normalne. W szkole podstawowej był uczniem zdolnym i inteligentnym, ale już w zasadniczej zaczęły się trudności. Sebastian chciał uczyć się w liceum ogólnokształcącym, a tymczasem nie poszły mu dobrze egzaminy i do nauki w zasadniczej zmusiły go złościwości losu...

Podczas wakacji znalazł się na obozie wędrownym. Zetknął się tam z grupą narkomanów i uległ jej woływowi. Twierdzi, że nie jest jeszcze narkotowcem. A jednak rok bieżący rozpoczął od silnej dawki tego, co sam nazywa cholernym świstwem, stając się przez to ofiarą wizji, które nie były wcale kolorowe. Wystarczyło powiedzieć, że jedyną drogą ucieczki od przerażającego obrazu dziewczyny bez nóg oraz okropnych postaci z nożami długimi jak miecze było dla niego samobójstwo. Na szczęście rodzice zakreślili na czas kurki gazowego pieca. Byli przerażeni.

Sebastian przestał się uczyć. Rzucił szkołę. Ukończył lat szesnaście. Jest więc w wieku, który wymaga bezustannej kontroli, bo właśnie w tym wieku o jakikolwiek życiowy poślizg jest najłatwiej. Myśli, uczu-

cia, cały organizm — nic z tego nie jest jeszcze sprecyzowane i domaga się dopiero jakiegoś wyraźniejszego kształtu. Tak więc w przypadku Sebastiana nie można jeszcze mówić o pełnej osobowości. Pocięta jednak jego wrodzona inteligencja, która pod kierunkiem czyichś rozsądnych wyprawiedzi nagina się plastycznie do tego, aby chłopak wysnuwał rozsądne wnioski i każdy swój błąd dostrzegał.

Nie tylko ja odniosłem takie wrażenie. Odniosła je także dr Maria Szafrańska, kierownik Poradni Chorób Układu Nerwowego dla Młodzieży, mieszącej się w Łodzi przy ul. Nowotki 94. I trzeba powiedzieć, że gdyby nie takie właśnie wrażenie, Sebastian po zażyciu owej noworocznej

Dalszy ciąg na str. 3



Fot. Archiwum

MAŁGORZATA GOLICKA

STUDENT W POSZUKIWANIU MISTRZA

Jeżeli studiować to tylko indywidualnie — takim tytułem zachęca studentki tygodnik ITD. Wezwać nie jestem pewna, czy robi to poważnie, czy tak, jak w oryginale u Przybory i Wasowskiego raczej nas spora doza ironii. W obecnej sytuacji wygląda to bardziej na kpiny, bo jak tu namawiać do czegoś, co...

Przypomnijmy lepiej fakty: już 5 lat temu Regulamin Wyższych Szkół Technicznych § 14 głosił: „działan może zezwolić studentowi na branie udziału w niektórych lub wszystkich zajęciach innych specjalizacji lub innego wydziału tej samej lub innej szkoły, jeżeli nie będzie to kolidowało z przebiegiem studiów na wydziale. W przypadkach uzasadnionych wybitnymi zdolnościami studenta rektor na wniosek dokonał zaopiniowany przez radę pedagogiczną danego roku studiów może zezwolić studentowi na studiowanie według indywidualnego programu studiów.”

Dalszy ciąg na str. 2



„GDZIE POCZUCIE OBOWIĄZKU?”

W związku z notatką prasową, zamieszczoną w nr 4 tygodnika „Odgłosy” pt. „Gdzie poczucie obowiązku?” — uprzedznie wyjaśniamy, że ob. B. Karasińska, zam. w Pabianicach, nie zamówiła w/w tygodnika w naszym przedsiębiorstwie, lecz w UPT Pabianice 1. Na adres więc placówki pocztowej Pabianice 1, zgodnie z ich zamówieniem, wysłaliśmy po 1 egz. tygodnika „Odgłosy” systematycznie każdego tygodnia. Nadmieniamy, że żadnych reklamacji z tytułu nieotrzymywania zamówionego tyg. „Odgłosy” z UPT Pabianice 1 nie otrzymaliśmy do tej pory. Z uwagi na fakt, iż prenumeratorka nie może ponieść konsekwencji niedoreczenia jej zamówionego czasopisma, rozumiemy w pełni apel Redakcji — do naszego poczucia obowiązku tak i dobrej woli oraz ludzkich odczuć, przesyłamy z naszych egzemplarzy gratisowych po 1 egz. brakujących numerów 1, 2, 3/4.

Ponadto, nie chcąc się w przyszłości spotkać z równie przykrymi uwagami na temat dobrych obywateli oraz zaniebywania obowiązków służbowych, będziemy wysłać zamówiony i egz. tyg. „Odgłosy” bezpośrednio na adres prenumeratorki, listem poleconym, rugując urząd pocztowy Pabianice 1, aczkolwiek tam została zamówiona prenumerata.

Prosimy o zamieszczenie naszego wyjaśnienia w powyższej sprawie, gdyż notatka Wasza jest dla nas krzywdząca, przykra i niesprawiedliwa w swej ocenie.

JANUSZ KRÓL (Dyrektor)

OD REDAKCJI:

Serdecznie dziękujemy za zajęcie się sprawami naszej Czytelniczki. Brakujące numery również wysłaliśmy z redakcyjnego zapasu. Bylibyśmy też wdzięczni, gdyby bratnie przedsiębiorstwo „Ruch” zstroszczyło się o regularne dostarczanie czasopism do naszej redakcji. Tak do tej pory „Politykę” bardzo często dostajemy we wtorek zamiast w sobotę, a „Szpilki” — bywa — gina.

Łączymy pozdrowienia.

EPOKA

PIETRO DZULLINO

ZŁODZIEJE ARCYDZIEŁ

Po co kraść dzieła Giorgione? Przecież i tak nie sposób go sprzedać — zdziwił się Czytelnik. Po zniknięciu z kościoła w Castelfranco płótna przedstawiającego Madonnę ze św. Liberiuszem i św. Franciszkiem wielu osobom nasunęły się podobne wątpliwości. Przecież prac, jakie wyszły spod pędzla tego znakomitego artysty, Giorgio Barbarelli da Castelfranco, zwanego Giorgione i zmarłego w 1510 roku z trudnością można by znaleźć pięć lub sześć. Wszystkie są zbyt dobrze znane policji na całym świecie, aby je można sprzedać bez wśczymania hałasu. Wydawałoby się, że znacznie prościej byłoby ukraść i wyeksportować za granicę obraz jakiegoś płótna młodsze mistrza, chociażby Tycjana lub Caravaggia. Jeszcze łatwiej można by „puścić” w kurs dzieła mniej znanych mistrzów XVI—XVIII wieków, których prace są nieskatologowane lub opisane niedokładnie. Dlaczego więc rabusie wybrali sobie właśnie Giorgione?

WARIANT PIERWSZY

Obraz Giorgione ukradziono dlatego, że bezczynność różnorodnych włoskich instytucji stwarza sposobność „znikania” dzieł sztuki, a co więcej, pozwala wyciągnąć korzyści z kradzieży arcydzieł, których nie sposób sprzedać. Brzmi to może paradoksalnie, niemniej jednak stwierdzeniu temu nie da się odmówić racji. W ostatnich czasach praktykuje się nie-

rzadko „kradzieże-szantaże”. Cenne płótna znikają bynajmniej nie po to, aby pojawić się na „czarnym rynku”, a w celu rozpoczęcia przez złoceńców przetargów z właścicielem. W jednej tylko prowincji weneckiej w ciągu ostatnich dwóch lat przeprowadzono serię podobnych „operacji”. To samo zdarza się w Rzymie, we Florencji i Neapolu.

Dalszy ciąg na str. 5

ZOFIA TARNOWSKA

NÓŻ W BRZUCHU

13 października 1973 roku oficer dyżurny Komendy Powiatowej MO w Łowiczu przyjął o godz. 6,30 rano meldunek, że we wsi Emilianów obok zabudowania Jana W. leżą zwłoki Józefa B. To była prawdziwa informacja. Dokumentacja w postaci zdjęć zamordowanego znajduje się w materiałach śledczych załączonych do aktu oskarżenia przeciwko Stanisławowi Adamikowi. Józef B. został przez niego ugodzony nożem w plecy. Cios sięgnął serca poprzez tętnicę główną...

MORDERCA

Jest bratem żony zamordowanego. Ma 43 lata, troje dzieci (w wieku 13—19 lat) i gospodarzył na przeszło czterech hektarach w Borówku (pow. Łowicz). Przypuszczano, że właśnie rodzinie — jak to zwykle na wsi bywa — stały się źródłem dramatu. Śledztwo poszło w tym kierunku. Ujawniono następujące okoliczności: w 1959 roku matka Stanisława Adamika i Marianny B., żony zamordowanego, podzieliła swój majątek stanowiąc, że ziemię otrzyma Marianna oraz jej mąż i spłaca syna Stanisława. Do 1973 r. Stanisław nie otrzymał spłaty siostry i szwagra. Nie miało to jednak żadnego znaczenia w owej tragicznej sprawie. Stosunki między rodzeństwem były poprawne, a nawet wzorowe. Gdy Adamikowi spaliła się stodoła — korzystał z pomocy szwagra. Do niego jeździł (do Emilianowa) korzystać z siewczarni.

12 PAŹDZIERNIKA

Stanisław Adamik przyjechał także do szwagra naciąć siewczki dla swego inwentarza. Po południu, około godziny 17, przyszli dwaj sąsiedzi Józefa B. Przynieśli buty do reperacji, bowiem Józef B., listonosz pracujący w urzędzie pocztowym w Bielanowie, trudnił się jeszcze szewstwem. Gospodarz przyjechał dość późno do domu — około godziny 18. Był podпиты. Zabrał się jednak zaraz do butów i zreperował, a do roboty dopłynął go alkohol, który wypił razem z sąsiadami. Złożyli się na ten alkohol, a kupił u... Marianny B., żony listonosza. Gospodyni zajmowała się

Dalszy ciąg na str. 6

MAŁGORZATA GOLICKA

STUDENT W POSZUKIWANIU MISTRZA

Dalszy ciąg ze str. 1

Nowy regulamin studiów uniwersyteckich z 1.X.1972 r. § 20 dodaje, że dziekan może zwolnić studentowi na studiowanie według indywidualnego programu studiów umożliwiającego wcześniejsze ukończenie nauki oraz, że indywidualny plan zatwierdza dziekan, który także wyznacza opiekuna naukowego.

Już w tych lapidarnych sformułowaniach regulaminu niektórzy pracownicy naukowi wyższe uczelni widzą powody małej popularności studiów.

Konflikt powstaje w momencie układania przez studenta indywidualnego planu studiów — twierdzi doc. dr hab. Bronisława Jaworska, prodziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego UL. — Teoretycznie może zwolnić studenta z obowiązków zaliczenia danego przedmiotu kursowego i zastąpić ten przedmiot innym. Chcąc być w zgodzie z przepisami nie powinniśmy tego robić, gdyż Ministerstwo nie odwołuje jednocześnie starych przepisów. Zgodnie z nimi nie wolno zwiększać studentowi wymiaru godzin, ani zamieniać ćwiczeń na wykłady. Wolno tylko zastąpić wykłady konsultacjami. Jeśli nawet przykleimy oczy na przepisy mające na względzie przede wszystkim dobro studenta, to i tak decyzje o zmianie przedmiotu wywołują opozycje wykładowców. Jak to — twierdzą oni — mój przedmiot uważa pani dziekan za zbędny? Nie, możliwe, bez znajomości przedmiotu „X” nie można skończyć studiów.

W rezultacie student, który decyduje się na program indywidualny i dziekan, który ten program aprobuje borykają się z mnóstwem trudności.

Nie widzę żadnego konfliktu — rozwiewa moje wątpliwości prorektor Uniwersytetu Łódzkiego, prof. dr Witold Smolech. — Jeżeli uważa, że podejmując studia indywidualne może pominać obowiązujące przedmioty kursowe, to moim zdaniem nie nadaje się zupełnie do tego typu studiów. Zasianawiałbym się poważnie, czy dać takiemu studentowi pozwolenie. Studia indywidualne przeznaczane są dla najzdolniejszych, którzy podstawowe szkiele przedmiotu uzupełniają przedmiotami według własnych zainteresowań i wcześniej rozpoczęli samodzielną pracę naukową.

Szef Komisji Nauki przy ZW SZSP mgr Henryk Luboń też nie jest zachwycony.

Studia indywidualne w takiej postaci jak obecnie — mówię — nie spełniają naszych oczekiwań. Istnieje tendencja do traktowania studiów indywidualnych głównie jako możliwości skrócenia nauki. Teraz, kiedy skrócono studia na wielu kierunkach do 4,5 lub 4 lat nie jest to żaden doping. Wyobraźcie sobie, że studia indywidualne pozwolą łączyć przedmioty z pogranicza różnych dyscyplin i ułatwią rzeczywiście zaspokojenie zainteresowań i planów studenckich. Postęp w tej dziedzinie zależy naszym zdaniem głównie od władz uczelni.

Idąc tym śladem trafiam na Wydział Inżynierii Chemicznej Politechniki

Łódzkiej, na którym studiuje indywidualnie kilku studentów. Andrzej Chacek, Grzegorz Szewczyk i Maciej Starzak z III roku są bardzo zadowolony z możliwości podjęcia studiów indywidualnych. Wszyscy trzej uczęszczają dodatkowo na zajęcia z matematyki Studium Doktoranckiego na Wydziale Elektrycznym. Studenci interesowali się matematyką dużo wcześniej, chcieli nawet podjąć równoległe studia na Uniwersytecie. Możliwość studiowania matematyki na Politechnice była im bardzo na rękę tym bardziej, że matematyka pomoże im w późniejszej pracy projektantów aparatury chemicznej, urządzeń automatycznych itp. W VI semestrze, a więc wcześniej niż pozostali studenci, ustala plany pracy magisterskiej.

— Staram się iść maksymalnie na rękę studentom — przyznaje się doc. dr hab. Zdzisław Kembowski, pełniący na Wydziale obowiązki dziekana ds. spraw nauczania. — Usuwamy wszelkie przeszkody organizacyjne, aby mogli znaleźć czas na interesujące ich zajęcia. Występują bowiem znaczne kolizje w programie studiów. I my jednak uważamy, że kursowy przedmiot jest obowiązkowy. Indywidualny program siewra jednak możliwość do opracowania studiów o charakterze interdyscyplinarnym. Studenci wytypowali opiekunów lat. Co prawda Wydział Inżynierii Chemicznej jest jak na warunki Politechniki wydziałem nietypowym. Studuje tu 250 studentów (dla porównania na Wydziale Mechanicznym 3 tys.), stąd też łatwiejszy jest u nas kontakt między studentem i asystentem. Znamy więc lepiej studentów i ich możliwości, co jest nieodzowne przy tego typu studiach.

Uderza na tym Wydziale życzliwość, indywidualny stosunek do studenta. Jednakże i ten program trudno uznać za indywidualny program studiów.

Indywidualny program studiów to program prac i wymagań inny dla każdego studenta. Tak — jak proponuje nowy model szkolnictwa wyższego w zreformowanym systemie oświaty. Model ten burzy zupełnie tradycyjny schemat studiów. Zgodnie z nim indywidualny program oznacza również odejście od systemu semestralnego. Cykl nauczania wyznaczałaby nie kolejność wykładów i ćwiczeń, ale plan wykonanych prac i zdanych egzaminów. Indywidualny program to również indywidualny czas kończenia studiów. Projekt określa tylko górną granicę czterech lub pięciu lat. Nie nie powinno jednak stać na przeszkodzie wcześniejszego ukończenia studiów. Indywidualny program to także indywidualny zróżnicowany dyplom. Zgodnie z tą propozycją aktywny i twórczy student powinien uzyskać dyplom o wyższej randze niż ci, którzy nie sprościli tak dużym wymaganiom.

Najważniejsze jednak w tej propozycji to indywidualny program kształcenia studenta wprost w instytucji uczelnianej.

„Wśród obowiązków studenta na pierwszy plan wysunąć należy wykonywanie prac mających znaczenie i wartość w

prowadzonych pracach badawczo-wdrożeniowych Instytutu — czytamy w referacie kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — Romualda Jezierskiego, wygłoszonym na posiedzeniu Rady Głównej Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki we wrześniu ub. roku — w tym procesie badawczo-wdrożeniowym można wyznaczyć prace właściwe dla różnych jego faz. (Zbieranie danych, ich opracowanie, omówienie literatury tematu, przeprowadzenie analizy, doświadczeń, formułowanie hipotez i ich uzasadnienie, opracowanie teoretycznych danych, zastosowanie rezultatów badań — prace konstrukcyjne, opis warunków niezbędnych wdrożeń technicznych, technologicznych, organizacyjnych, ekonomicznych, społecznych i ich zaprogramowanie). Wyznaczenie tych prac i ich kolejność uzależniona byłaby z jednej strony od specyfiki przedmiotowej badań, z drugiej zaś od dotychczasowego rozwoju studenta, jego wiedzy, zainteresowań i przebytej pracy zawodowej.”

W ten sposób studenci staliby się współpracownikami Instytutu w pełnym tego słowa znaczeniu. Uczestniczyliby również w bieżących pracach, seminariach naukowych, dyskusjach i odczytach.

Mając przed oczyma taki model studiów przestaje się dziwić, dlaczego indywidualny program nauki nie wzbudza dziś zainteresowania wśród młodzieży. W całej Łodzi podjęło studia indywidualne zaledwie 45 studentów. Wyraźnie widać, że jest to pomysł na jutro, który dusi się w obecnej strukturze i warunkach studiów.

Czy ma to jednak oznaczać, że trzeba położyć kreskie na studia indywidualne i czekać cierpliwie na reformę? Przeciwnie. Myślę, że należy je traktować jako wstęp do reformy i sprawdzian modelowych założeń. W związłości z obecnym regulaminem widziałabym nie przeszkody, a zalety sprzyjające indywidualnej interpretacji dla każdego studenta. Chodzi tu jednak o sprawę trudniejszą, o przełamanie zarówno u pracowników naukowych, jak i u studentów nawyków wykształconych przez blisko 30 lat, kiedy szkolnictwo wyższe przygotowywało absolwentów do zupełnie innych warunków pracy.

W takim właśnie kierunku działa SZSP. Po konferencji sprawozdawczo-wyborczej Związku i rozmowach z rektorami, w przyszłym roku akademickim w każdym Instytucie Uniwersyteckim w Łódzkiej ma rozpocząć studia indywidualne trzech studentów. Przelamując dotychczasowe wzory i trudności na jednym z najbliższych wydziałów uczelni: Ekonomiczno-Socjologicznym grupa asystentów podzieliła się społecznie indywidualnej opieki nad studentami. Zbliżający się Kongres Studenckiego Ruchu Naukowego zajmie się również możliwościami wypracowania takich form prac kół naukowych aby, nie czekając na zmiany w szkolnictwie wyższym, już teraz włączając studentów do prac badawczych uczelni.

Mgr Henryk Luboń uprzedził mnie również o przygotowywanej na wiosnę akcji SZSP „Mistrz zaprasza ucznia do pracowni”. Na początku student proponuje, aby każdy pracownik naukowy, poczynając od doktora, zaopiekował się jednym tylko studentem. Potem pokusza się o zorganizowanie większych zespołów badawczych złożonych ze studentów i pracujących pod kierunkiem samodzielnego pracownika nauki. Mamy już taki zespół na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UL.

W anglosaskich uczelniach bezpośrednio opiekunowie kierujący pracami studenta nazywają się tutors. Jak będzie u nas ich nazywać w Polsce, jeszcze nie wiadomo. Wiadomo jednak, że są potrzebni i to bardzo. Bo co tu dużo mówić starzy kpiarze Przybora i Wasowski mają jednak rację. Ani kochać, ani kształcić zbiorowo długo się nie da.

PROSZĘ O GŁOS!

Na pytanie postawione w tytule odpowiedzieć nie jest łatwo — można jednak podjąć jakąś próbę odpowiedzi. Bardzo łatwo natomiast odpowiedzieć na pytanie — „Czy w Polsce Ludowej potrzebna jest pornografia?”.

Ołóż — nie jest potrzebna. Rzecz jednak w tym, że najczęściej ludzie, którzy zadają to drugie pytanie nie potrafią sobie odpowiedzieć na pytanie pierwsze — „Co w ogóle jest pornografia?” Po prostu wydaje się im, że wiedzą. A nie wiedzą — nie wiedzą, choć ich status społeczny i zawodowy wymagałby tej podstawowej wiedzy.

Zacznijmy więc rzecz „od pieca”. Słownik Wyrazów Obcych PWN (str. 592) formuluje to w ten sposób: „pisma, rysunki, obrazy o treści nieprzyzwoitej, przedstawiające sceny erotyczne, obliczone na wywołanie u odbiorców podniecenia płciowego”.

I już jesteśmy w domu. Definicja, sama zresztą nieostra, wyraźnie zaznacza płynność pojęcia „pornografia”. Bo co to znaczy „obliczone na wywołanie podniecenia”? Pornograficzny może być atlas anatomii, pornograficzne mogą być „Pieśni nad pieśniami” albo „Maja naga” Goyi. Wszystko zależy, jakim okiem i z jakimi myślami spoglądamy na dzieło sztuki, fotografię, tekst.

Ale każdy średnio inteligentny człowiek wie, że ani atlas anatomiczny ani „Maja naga”, ani „Dekameron” nie były „obliczone na wywołanie podniecenia”. Więc — zgodnie z definicją — nie mamy tu do czynienia z pornografią.

Są jednak ludzie, którzy pornografią dopatrują się wszędzie. Cóż im odpowiedzieć? Jakże są szanse dyskusji?

Boy-Zeleński pisał kiedyś o mnichu, który w czasie wojny, w szpitalu wojskowym, mieszczącym się w pełnym greckich rzeźb pałacu — pracowicie odpywał posagom tzw. wstydlive części.

Wokół cierpieli i umierali ranni, trwała wojna, która jest wyzwaniem rzuconym zasadom moralnym tego świata, a on myślał: „to niemoralne” mając przed oczyma tylko i wyłącznie nagie i piękne greckie rzeźby. Jest ów mnich symbolem hysterii i obsesji seksualnych.

Bo przecież ludziom i sztuce nie są i nie mogą być obce wszystkie te sprawy, jakie się dzieją między kobietą i mężczyzną. Zarówno w swoim pięknie jak i brzydocie. Kto tego nie rozumie — rozumie niewiele z tego świata i zupełnie nie ze sztuki. A przecież dzieje literatury to także — jak pisze Z. Lewicki w eseju „Literackie przyzwoliki” — „dzieje jej walki o prawo

CO TO JEST PORNOGRAFIA?

do ukazywania człowieka pełnego, to znaczy nie tylko jako uczonego, podróżnika i artysty, ale także jako istoty nie rozmażającej się przez pałkowanie”.

Przyjmijmy jednak, że niepotrzebne są ludzkości greckie rzeźby i twórczość Boccaccia, „Ulisses” Joyce’a i „Zmory” Zegadłowicza, pisarstwo Hemingwaya, Lawrence’a, Caldwell’a, Baldwin’a, White’a, Unilowskiego. Nie będą zresztą wymieniali polowy encyklopedii.

Przyjmijmy, że należy spalić obrazy Degasa, Picassa, Renoira, Matisse’a, Maneta...

I co dalej? Należałoby jeszcze zakazać wiadomych kontaktów między kobietą a mężczyzną. Przecież to czysta (a raczej brudna) pornografia.

Oczywiście kpię — jakże jednak poważnie traktować pełne hysterii oceny stawiane z pozycji obrzydzenia. Dziwnie nieczuli jesteśmy na moralność obrażaną przez dwulicowość, intrygi, obmowę, ichyżliwość, służalczość... Wpadamy jednak w histerię, jeśli na fotografiach ujrzymy piersi kobiety, jeśli w utworze literackim przeczytamy drapieżny lecz prawdziwy opis pożądania.

Cóż zatem jest pornografia? Jest nią może ludzka wyobraźnia, a może ludzka prudencja? Nie jest jednak pornografia dzieło sztuki mówiące w sposób artystycznie prawdziwy o pięknie i brzydocie ludzkiego ciała.

Jeśli natomiast chodzi o „Kochanka Lady Chatterley” Lawrence’a, to może warto zacytować opinię... biskupa anglikańskiego, dr. Johna Robinsona: „Opisy stosunków płciowych nie powinny być rozpatrywane w oderwaniu od kontekstu zupełnie zdumiewającej wrażliwości Lawrence’a na piękno i wartości wszystkich związków naturalnych... Ani intencje ani efekty utworu nie mają charakteru deprawującego”.

Zapewne znajdzie się zawsze jakieś „grono”, które nie potrafi się z tym zgodzić. Proszę bardzo — gotów jestem nawet przyznać, że się mylę. Z tym wszakże zastrzeżeniem, że myślę się razem z Boccacciem, Joyce’em, Zegadłowiczem, Witkacym, Hemingwayem, Lawrence’em, Caldwellem, Baldwinem, Degasem, Matisse’em, Manetem, Renoirem...

JERZY WILMAŃSKI

◆ GOS — znaczy czystość GOS to — GRUPA OCZYSZCZALNIA ŚCIEKÓW, jaka kosztuje 2,8 miliarda złotych powstanie pod Łodzią. Rozpoczęto już prace wstępne, a ich zakończenie przyniesie rzekom środkowej Polski czyste wody oraz oddanie się życia biologicznego. To ostatnie dotyczy szczególnie Neru, który obecnie jest wyłącznie kanałem ściekowym. Czysta woda będzie też w Bzurze i Warcie.

Po uruchomieniu wodociągu Sulejów — Łódź, budowa GOS jest drugim wielkim przedsięwzięciem, porządkującym gospodarkę wodą i ściekami w środkowej Polsce. Z GOS korzystać też będą zakłady przemysłowe Pabianic, Zgierza, Aleksandrowa, Konstancyna i Rzgowa.

◆ TRAGEDIA NA STACJI WYSZKÓW. Jak informuje prasa codzienna 5 lutego br. na stacji kolejowej Wyszków doszło do tragicznego wypadku, którego sprawcą jest niespełna 19-letni Tadeusz Dąbrowski, mieszkaniec wsi Niegów w powiecie wołomińskim, a pracownik — starysta Mazowieckiego Przedsiębiorstwa Produkcji Pomocniczej Budownictwa w Wyszkwowie.

Tadeusz Dąbrowski znany jest milicji i prokuraturze z chuligańskich wybrzyków. Prowadzone jest aktualnie przeciw niemu śledztwo w sprawie udziału w bójce. Śledztwo to prowadzi prokuratura w Wołominie.

6 lutego br. Tadeusz Dąbrowski — jak utrzymują świadkowie — pchnął pod koła pociągu milicjanta — plutonowego Zenona Kozłowskiego.

Milicjant stanął w obronie konduktorki, którą chciał pobić młodociany bandyta. Tadeusz Dąbrowski nie przynajmniej do winy. Zenon Kozłowski walczył w szpitalu o powrót do zdrowia. W wypadku, pod kołami pociągu stracił rękę. Tadeusz Dąbrowski usiłował zaprzeczyć, że w ogóle był

traktowane są przez pracowników PKP i PKS jako zesłanie, praca za karę.

Po pchnięciu milicjanta pod koła ruszającego pociągu Tadeusz Dąbrowski zaczął uciekać. Dopiero wtedy kilka osób zaczęło go gonić. Nie mógł pościg drugiego milicjanta — plutonowego Adama Szymanika, nie

pomogły ostrzegawcze strzały oddane w powietrze. Bandyta uknął. Zatrzymano go później w pobliżu miejscy zamieszkania, we wsi Niegów. Śledztwo trwa

◆ „HARNAM” w Algierii. Zespół Tańca Im. Sz. Harnama w ramach „Dni Kultury Polskiej” zawitał do Algieru, gdzie będzie występował. W planie ma też występy w Tunezji.

◆ WOJCIECH ŻUKROWSKI LAUREATEM „ZŁOTEGO KŁOSA”. Po raz dziesiąty redakcja „Dziennika Ludowego” i Ministerstwo Kultury i Sztuki zorganizowały tradycyjny

konkurs: „Złoty kłosa dla twórcy — srebrny dla czytelników”. Wśród 10 książek zgłoszonych do konkursu najwięcej głosów zdobyły „Kamienne tablice” Wojciecha Żukrowskiego. Autor otrzymał „Złoty Kłosa” a książka miano „Książki — 1973 roku”.

◆ „ESTRADA ŁÓDZKA” ma 25 lat. Z okazji jubileuszu „Estrada Łódzka” prezentuje publiczności kolejne jubileuszowe imprezy.

◆ „DAMA KAMELIOWA” I „POPIÓL I DIAMENT” w Teatrze Ziemi Łódzkiej. „Dama Kameliowa” reżyseruje Aniela Boryslawska, „Popiół i diament” — Jan Perz. Adaptacja powieści Jerzego Andrzejewskiego będzie miała podwójny kształt sceniczny. Pierwszy — tradycyjny. Drugi — przeznaczony do pokazywania w halach fabrycznych i szkołach.

◆ ADAPTACJE NADAL W CENIE. Kolejną adaptację powieści zaprezentował warszawskiej publiczności Teatr Muzyczny z Lublina. Tym ra-

zem była to znana powieść z okresu międzywojennego: „Kariera Nikodema Dyzmy” Dolegi-Mostowicza. Libretto napisał Stanisław Powołocki. Wykorzystano piosenki Janusza Stojkowskiego. Muzykę skomponował Andrzej Hundziak. Reżyserował Jan Wodzinski.

◆ FILMOWE KONFRONTACJE zaczynają się 25 lutego i trwać będą do 11 marca w kinie „Bałtyk”. Inaugurują je polski film Sylwestra Szyski — „Ciemna rzeka”. Konfrontacje są przeglądem filmów nagradzanych na różnych konkursach międzynarodowych.

◆ NA MAŁYM EKRANIE SERIALE. Już od początku lutego co wieczór — z wyjątkiem poniedziałku i czwartku — będziemy mogli oglądać seryjny film. We wtorek, już niedługo emitowany będzie seryjny film radziecki o tematyce szpiegowskiej, oparty na znakomitej książce Juliana Siemionowa „17 technów wlosny”. Również „Jak hartowała się stal” — słynna książka Aleksandra Ostrowskiego stała się podstawą serialu telewizyjnego i też znajdzie się na ekranach naszych telewizorów.

Amatorzy filmów biograficznych o słynnych ludziach będą mogli oglądać dzieje Antoniego Czechowa, Pucciniego, a prawdopodobnie również dzieje Moliera.

Powraca na ekran Arsen Lupin, Sherlock Holmes oraz Al Capone. Już niedługo nowy western w odcinkach.

NOTY I OPINIE

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny) RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLIH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRĄBSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOŚKIEWICZ, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

„Specjalnie nie lubia, aby im się wdierał na ich teren pisar-amator. A jednak nikt, kto będzie się w Polsce zajmował kiedykolwiek problemami folkloru literackiego, nie będzie mógł ominąć studiów i książek Stanisława Czernika. Wiedział on bardzo wiele o „starym ziele” ludowej poezji i umiał o nim pisać z miłością, jak nikt”.

(Anna Kamińska, „Słowo o Stanisławie Czerniku”, „TWORCZOŚĆ”, 1973, nr 8)

Z żywym zainteresowaniem czytelników i krytyki literackiej spotkały się dwie ostatnie książki Stanisława Czernika. Pierwsza z nich „Trzy zorze dziewicze”. Wśród zamawian i zakleć” została nagrodzona na IV Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi w 1968 r. Jej dopowiadaniem jest wydany już po śmierci autora zbiór „Sny i widma”. Złożył się na nie dorobek wieloletnich badań twórczości ludowej.

Stanisław Czernik swoich zainteresowań ludozawczych nie wiazał ściśle z określonym regionem. Miały one charakter bardziej uniwersalny, a ich granice wyznaczały dostępne źródła i dokumentacja folklorystyczna. Warto tu także podkreślić aktywność badacza, który sięgał do różnych publikacji, nie tylko dawniejszych. Szedł najnowszą wydatką różnorodnych zabytków piśmiennictwa polskiego i wydobywał z nich interesujące teksty, które mało interesowały badaczy. Nie przypadkowo gromadził zapomniane teksty. Także ich interpretacja pozwala dostrzec zarysowaną w koncepcji badacza. Potwierdza ją również układ materiału, zwłaszcza w „Trzech zorzach dziewiczych”, wydanych jeszcze za życia autora. Obie książki w większości zawierają drukowane wcześniej w różnych czasopiśmiech i zbiorach książkowych teoretyczne rozważania o polskiej poezji ludowej, o bok wielu refleksji i postulatycznych wniosków pod adresem współczesności. Nie pretendują „Trzy zorze dziewicze” ani „Sny i widma” do rangi opracowań naukowych. Znakomicie jednak egzystują na prawach eseju, w którym zawsze znajdzie się miejsce na naukowe spostrzeżenia, obok poetyckiej, czy nawet intuicyjnej interpretacji. Są one doskonałym przykładem popularyzowania spraw nie zawsze łatwych i naukowo zbadanych. Tych walorów, obu książkom trudno zaprzeczyć. Prezentują one Czernika — folklorystę, który wrócił po powrocie z tułaczki wojennej podjął tę dziedzinę badań, zamierzając powrócić do własnej twórczości literackiej. Znany jako teoretyk autentyzmu i odważny wydawca „Okolicy Poetów”, w 1948 roku ogłosił rozprawę teoretyczną „Prymitywizm poezji ludowej”. („TWORCZOŚĆ” 1948, nr 7-8).

Od tego czasu systematyczne studia w tej dziedzinie złożyły się na szereg książek i publikacji drukowanych w wielu czasopiśmiech. Zwierza się nawet, iż wzorując się na J. I. Kraszewskim planował stworzyć cykl „powieści popularno-historycznych” o życiu chłopskim. Zamiar ten zrealizował tylko częściowo, wydając pięć utworów: „Opowieść o Klemencie Janickim”, „Uniwersał Czarnieckiego”, „Wór pszenicy”, „Wierne kopy”, „Wilcze doły”. Inspirowany studiami J. G. Frazera, B. Malinowskiego i K. Moszyńskiego podjął się Czernik z przekonaniem o pionierstwie swojej pracy zebrania i opracowania dostępnych jeszcze zabytków polskiej poezji magicznej. Za pośrednictwem uważał „K. Karłowicza i E. Majewskiego, którzy pierwsi zwrócili uwagę na potrzebę zajęcia się tą twórczością ludową, nie należącą do powszechnie znanej w czasach nowszych. Była to bowiem twórczość ściśle związana z najdawniejszymi praktykami magicznymi, czyli „zaklęcia, zamawiania uroków i ustne relikty zabiegów znachorskich i owczarskich”. Zaklęcia i zamawiania w zależności od celu sprawzone różniły się tym, że „zamawianie” miało nieszkodliwie „zaklęcie” zaś je sprwadziło. Spokrewnione z nimi koledy i życzenia koledowe z najdawniejszych czasów wywodziły z tego samego źródła — jak stwierdza Czernik — a było nim przekonanie, że słowem można „przebrać i błogostawić, niszczyć i budować, ponizić i podnieść”. („Trzy zorze dziewicze”, s. 21).

W szkicu „Małe formy ludowe” wyraźnie podkreślił, iż nie tyle interesują go elementy konstrukcyjne zebranych tekstów, ile możliwości dotarcia poprzez nie do pierwotnej funkcji słowa. Czernik pisze: „Chodzi przede wszystkim o słowną stronę tych reliktyw, a więc czynnik podstawowy” (s. 18). Wychodził z założenia, że słowo a nie muzyka, śpiew — są najistotniejsze w tych utworach ludowych, które wyrosły na gruncie praktyk magicznych z wiary w niezwykłą moc słowa. Magia była dla pierwotnego człowieka formą podporządkowania sobie lub zjednania tajemnych sił przyrody dla określonych celów zrodzonych z potrzeb życia. Jako zespół czynności praktycznych towarzyszyła różnorodnym zabiegom związanym z rocznym cyklem świątecznym, obrzędami inicjacji kolejnych roczników młodzieży, w niej też przejawiał

się kult bogów, przodków i demonów. Dla pierwotnego człowieka magia była pierwszym przejawem religii, a jej ślady, jak mówi K. Moszyński, utrzymują się w religiach późniejszych, nawet współczesnych.

O skuteczności magii decydowało zaklęcie, zamawianie, z którego nie wolno było uronić słowa. Z racji takiej funkcji wynikającej z wiary w moc słowa, te teksty pradawnie twórczości słownej miały większą szansę przetrwania w swym pierwotnym kształcie. Stąd, jak podkreśla Czernik, są dla badacza bardzo cennym materiałem „wprost z przedwiecza”. Wśród zachowanych zabytków, których zebrał sporo, przeważają teksty wierszowane, o wyraźnej

widzieli pokrewieństwo między poezją a wierszem, bowiem dostrzegali w niej czynnik duchowy wyższego rzędu, którego źródłem mogło być tylko bóstwo. Wedle kryterium treściowego nazywał to, co było wyrazem natchnienia. Często jednak za wystarczający wyróżnik uważał kryterium formalne pozwalające zaliczyć do poezji to wszystko, co zostało wypowiedziane w postaci wierszowanej.

Okazuje się, że dzisiaj znalezienie rozwiązania zagadki wcale nie jest łatwiejsze, mimo wielkiego postępu nauki. Podstawową sprawą stało się znalezienie odpowiedzi na inne pytanie, mianowicie, kiedy powstał język.

O sztuce słowa, która wyrasta z twórczości językowej, można bowiem mówić wtedy, kiedy język osiągnął taki poziom rozwoju, by mógł się w nim realizować wypowiedzenia już od tyścioletniej przeszłości, związane z czysto praktycznymi potrzebami życia, jak to jest widoczne w magii.

Językoznawcy uważają język za najpóźniejszy — zarówno z punktu widze-

archaicznym okresie ludzkości. Przypisuje się mitem lotną rolę w kształtowaniu sztuki słowa, jako że w swej najdawniejszej postaci miały one charakter synkretyczny, na który złożyły się elementy poezji, religii, filozofii, a nawet prób naukowych interpretowania świata. W tym aspekcie za tak pojmowaną genę literatury miałyby również przemawiać odkrywane w klasycznych dziełach literackich przejawy archetypów.

Dla tych prób teoretycznego wyjaśniania problemów najogólniej pojętej sztuki ma szczególne znaczenie odmiana psychologii głębi, stworzonej przez C. G. Junga — ucznia i równocześnie antagonistę Z. Freuda. C. G. Jung nazywał archetypami pozostałości archaiczne w kulturze. W jego koncepcji „archetyp” nie oznacza tylko określonych obrazów lub motywów, polega zaś „na samej tendencji do takiego obrazowania, które może się różnić w szczegółach, nie zatracając jednocześnie swego zasadniczego zwrócenia”. Jako przykład podaje wiele wariantów motywu „skłóconych braci” w literaturze światowej. Bliżej precyzuje Jungowskie pojęcie archetypu określenie: „Archetyp to w rzeczywistości instynktowna tendencja, równie wyraźna jak impuls, który każe ptakowi budować gniazdo, a mrówkom organizować się w zespolony”. Jung umiejscowił archetypy w najgłębszej warstwie tzw. „podświadomości kolektywnej”, niedostępnej dla kontroli rozumowej. Te zbiorowe wzorce myśli ludzkiej uważał za wrodzone i dziedziczne, a ponieważ tkwią w nieświadomości kolektywnej, są wspólne dla całej ludzkości i przejawiają się w kulturze wszystkich epok. Twórcą strukturalnej metody badania mitów Claude Levi-Strauss głosi tezę, że każda sztuka jest w pewnym sensie przedłużeniem, również i dzisiaj, funkcjonowania pierwotnych mechanizmów kultury. Chociaż pogląd ten nie spotkał się z powszechną akceptacją, posiada wiele zwolenników. Nie należy do odosobnionych stanowisk amerykańskiego uczonego (Ronald S. Crane), który uważa, że w „świecie pierwocin społecznych musimy szukać prawdziwych prototypów „rzeczywistych” znaczeń dawnych motywów oraz formuł konstrukcyjnych, które wciąż jeszcze determinują czy mogą determinować wszystko w poezji współczesnej”, co najgłębiej porusza współczesnego czytelnika. („Koncepcje struktury poetyckiej w jej współczesnej krytyce”).

Ostatnie zbiory esejów St. Czernika dowodzą, że zdawał on sobie sprawę z konieczności unowocześnienia własnego warsztatu badawczego. Wprawdzie trudno mówić o jednolitej metodzie badawczej w esejistycznym zamykającej jego dorobek, nie ulega jednak wątpliwości, że największe szanse ożywienia i wzbogacenia folklorystyki polskiej upatrywał w nawiązaniu do teorii bazujących na psychoanalizie i nowoczesnej antropologii. Nie bez powodu powoływał się na Malinowskiego, J. G. Frazera, Z. Freuda, Junga i Adлера. Oto w „Trzech zorzach dziewiczych” (s. 27) wprowadza ostrożnie, ale pisze, iż „teoria archetypów jeśli okaże się słuszną, może być niezwykle cenna”.

Rozważania wokół zagadnień „praliteratury” polskiej, poezji zakleć i zamawian, tak często podkreślano wagę i wartość odwołującego się do „teorii determinacji postawy twórczej”, wyraźne egzemplifikacyjne traktowanie przejawów ludowości w literaturze, wreszcie nadzieje związane z metodami badań folklorystycznych, w których znalazłyby zastosowanie osiągnięcia teorii psychologii głębi — wszystko to zostało podporządkowane zasadniczej koncepcji Czernika, jednoczącej to wielostronne podejście do materiału badawczego.

Zbiór szkiców o relikwach praliteratury otwiera jako motto „Wyglós — pierwszy”, rzecz o ludności w „Kolebce pieśni”. Norwida, którego kreuje autor na prekursora psychoanalizy, całość „Trzech zorzech dziewiczych” zamyka esej „Słowo” spelniający jakby klamrę kompozycyjną i syntetycznie ujmujący całość rozważań. Jest to jeszcze jeden dowód przemawiający za przemyślaną naczelnej tezie badacza. Wypowiedział ją już w tomie „Z podglebia” (s. 262): „Twórczość literacka należy do zjawisk odwiecznych i ogólnoludzkich. Wyrazem jej była początkowo — i jest — literatura usna, bezimienna (...). Znana jest u wszystkich ludów bez względu na rasę, kontynent i stopień rozwoju kulturalnego. Znane są przykłady poezji prymitywnej o wysokiej wartości artystycznej”.

Stanisław Czernik: „Trzy zorze dziewicze” — Wydawnictwo Łódzkie — 1973. Stanisław Czernik: „Sny i widma” — LSW, 1971.

HELENA WASZKIEWICZ

MAGIA I SŁOWO



Fot. Archiwum

nia filogenezy jak i ontogenezy — konwencjonalny kod semantyczny, który powstał wówczas, gdy już funkcjonowały inne. Nawarstwił się on na istniejące kody i współżyje z nimi do dziś, czego wyrazem jest ludzka mowa. Z narodzinami języka Claude Levi-Strauss wiąże próg cywilizacji. Za starsze od języka uważa się pierwotne zachowania ludzkie przejawiające się w magii, której geneza jest równie trudna do jednoznacznego wyjaśnienia, zwłaszcza że antropologia strukturalna dowodzi, iż magiczne zachowania i język badanych społeczeństw prymitywnych posiadają cechy zwartych systemów, które trudno uważać za zaprojektowane w kulturach prymitywnych. Interesujące stanowisko w tej sprawie dotyczące zwłaszcza magicznych reakcji ludzkich zajął Br. Malinowski, przyjmując naturalne istnienie magii „jako istotne uzupełnienie wszelkich spraw i procesów ludzkich, które żywo interesują człowieka, lecz wymkają się jego rozumowej kontroli”. Wiele uwagi poświęcił Czernik przejawiającej się w zaklęciach „milogii”. Próbował dokończyć nawet rekonstrukcję mitologii słowiańskiej i wyjaśnić charakterystyczne zjawiska, którym ulegał młt w swej najdawniejszej postaci. Pojęcie mitu od czasów sofistyk hellenistycznych, kiedy zrodziła się jego teoria, stało się wieloznaczne i niostre. Młt dziś nie jest już tym, czym był młt archaiczny, który spełniał istotną funkcję w zaklęciach w postaci autorytatywnego sankcjonowania magii. Występował jako aluzje, wzmianki o bóstwach, przodkach, bohaterach. Służył wyrażaniu postaw ludzkich. Główną funkcją archaicznego mitu, tak samo jak rola praktyk magicznych dawną już odeszła w przeszłość, ustępując miejsca naukowemu wyjaśnianiu sytuacji egzystencjalnych człowieka. Nie znaczy to, że młt znikł całkowicie. Wielokrotnie podkreśla się jego obecność z różnych stanowisk badawczych. Trwa spór o kulturową rolę mitu. Mówi się o tym, że współczesność także rodzi mity, które mają charakter bardziej instytucjonalny niż naracyjny, jak niegdyś — i jako takie są produktem redukcji mitów.

Do nazwy mitu pretendują różne konstrukcje światopoglądowe i artystyczne. Słowo „mit” przeżywa dziś wielką popularność, z języka naukowego przeszło do potocznego jako modne wyrażenie.

Od czasu, kiedy zostało dowiedzione, że prymitywizm nie oznacza tylko stanu dzikości i niskiego rozwoju, ale jest argumentem przemawiającym za ewolucją cywilizacyjną, wzrosło zainteresowanie kulturą społeczeństw pierwotnych. Znaczący się tendencje w literaturoznawstwie do traktowania literatury jako rezultatu procesu rozwojowego od kategorii przedliterackich, towarzyszących zachowaniom magicznym w

zdemoralizowani, wulgarni, zdolni wyłączyć do cynizmu i łgarstw. Rozmowa z Jerzym jest szalenie trudna. W końcu przelamują się lody. Chłopak nie wie, kim chciałby zostać. Przyszłość to dla niego sprawa mglista i nie leży w kręgu jego zainteresowań. Czasami zdarzają się chwile budzące rozterkę. Wtedy żałuje, że rzucił szkołę, że przestał rysować i malować, choć miał do tego talent. Żałuje, że dla przypadkowego przechodnia, który mijają stojącą grupkę chłopaków przesiadającą się w komponowaniu bluzniarstw, jest zerem budzącym postrach. Kiedyś zebrał się w mieszkaniu jednego z kolegów, którego matka miała mieć jakieś zebranie do późnych godzin wieczornych. Przygotowali się do biesiady alkoholowej, gdy niespodziewanie matka przyszła, aby się przedbrać przed zebraniem.

— Początkowo była zdziwiona naszą obecnością i winem, którego nie zdążyliśmy ukryć — opowiada Jerzy. — Przywitana się i najstarszego z nas poprosiła, aby nie dopuścić do pijaństwa, aby nasze spotkanie wypadło kulturalnie. Nie było więc żadnej

rozróby, nikt nie wypyl za dużo, a przed wyjściem z domu zrobiliśmy wszystko, by zlikwidować wszelkie ślady naszej obecności. Myślałem, że stało się tak tylko dzięki temu, że matka naszego kolegi potraktowała nas w sposób poważny, jak ludzi naprawdę dorosłych.

Jerzy mieszka tylko z matką. Ojciec odszedł z domu i nie interesuje się losem swego syna. Przesyła tylko pieniądze. Natomiast matka jest ciągle zmęczona. Pracuje jako szwaczka, wykonuje od lat tę samą robotę i myśli wyłącznie o zarobku.

— A dlaczego ty nie zechcesz pomóc swej matce? — Jerzy milczy.

3.

W sprawie Sebastiana trafiłem do jednej ze szkół wieczorowych. Jest to Liceum Ogólnokształcące dla Pracujących w którym mam okazję rozmawiać z dyrektorem. Pani dyrektor nie jest pewna, czy da się coś zrobić akurat w tej szkole. Mogą tu bowiem uczyć się wyłącznie te oso-

PRZYGODA Z LISTAMI

Zacząłem się od przypadku. W domu pani Marii Szymanowskiej w miejscowości Kępa Polska nad Wisłą, nieopodal Plocka, odnaleziono na strychu stary kufer, a na jego dnie plik listów z przełomu XVIII i XIX stulecia. Właścicielka domu nie potrafiła o nich nie powiedzieć, nie wiedziała nawet o istnieniu tych papierów. Listów było sporo, bo 99 i stosunkowo szybko ustalono, że ich adresatką była starościna wyszogrodzka, Aniela ze Swidzińskich Szymanowska, osoba o której informacje przekazała już dawno Klementyna z Tańskich Hoffmannowa.

Kto jednak był autorem tych listów ustalanie było niemiernie trudne, skoro żaden z nich nie został podpisany pełnym imieniem i nazwiskiem nadawcy. Szybko wypadło oddalić domysł, że pisał je mąż adresatki i ustalono, że nieznanym autorem był „ktoś wykształcony, ustosunkowany, kochający adresatkę i miłujący ojczyznę”.

Franciszek Korwin-Szymanowski, który trudził się rozwiązaniem tej niejako rodzinnej dla niego zagadki, począł się więc przypatrywać pieczęciom lakowym, zachowanym przy niektórych listach i w ten sposób ustalił, że nieznaną adresatką używał monogramu „J” i „S”. W połączeniu z wiadomościami, uzyskanymi z lektury rękopiśmiennej korespondencji, mianowicie informacji o dobrych i bliskich stosunkach adresata z księżętami Czartoryskimi oraz o jego długotrwałej chorobie, doszedł do ryzykownej zdawałoby się hipotezy, mianowicie że autorem wszystkich listów był Józef Szymanowski, wybitny poeta, prawnik, krytyk literacki i tłumacz czasów stanisławowskich, uczestnik obiadów czwartkowych na Warszawskim Zamku, aktywny działacz Sejmu Czteroletniego i uczestnik powstania Kościuski, pisarz który pozostał skromną ilościowo ale cenną pod względem artystycznym spuścizną literacką.

Ale do ostatecznego ustalenia autorstwa było wciąż daleko. Dalszych argumentów dostarczyły teksty listów: wśród nielicznych informacji o nadawcy znalazła się wiadomość, że był on sędzią kryminalnym podczas Insurekcji Kościuszkowskiej; potwierdzało to hipotezę o autorstwie wybitnego poety. Dalszym argumentem okazała się identyfikacja wspomnianego w korespondencji „Pułkownika”, którym był rodzony brat pisarza.

Badacz, który sam określił siebie jako „niespecjalistę” w materiach historyczno-literackich dążył jednak do uczynienia swej hipotezy naukowym pewnikiem. „Dalsza analiza tekstów w połączeniu z wynikami badań archiwalnych — pisze F. Korwin-Szymanowski — do tego stopnia uszczupliła wszelkie zastrzeżenia, że w zasadzie można było machnąć na nie ręką. A jednak prosił się tu koronny dowód, którym w danym wypadku byłby po prostu podpisany autograf”. I wreszcie udało się taki dowód uzyskać. Był nim list Józefa Szymanowskiego podpisany przezeń nazwiskiem i pierwszą literą imienia, adresowany do księżniczki generalowej Izabeli Czartoryskiej, opatrzonej dopiskiem adresatki: „Ten list od Józefa Szymanowskiego, który był nasz dobry i nieodmienny przyjaciel aż do śmierci. Dzieła jego świadcza, że miał gust i dowcip”. Obejrzenie tego autografu o niepodważalnej autentyczności pozwoliło na kategoryczne stwierdzenie istnienia jego pisma z piśmem odnalezioną korespondencji. W ten sposób „autorstwo listów do starościny wyszogrodzkiej zostało wreszcie ustalone bez cienia wątpliwości” i przysądzone pisarzowi Józefowi Szymanowskiemu.

„I tu trudno się powstrzymać od wyrażenia uwagi — pisze dziś F. Korwin-Szymanowski — że ten cel prawie w tym samym stopniu można było osiągnąć znacznie łatwiej i z mniejszym nakładem czasu. Mianowicie, z chwilą zwrócenia domysłów ku Józefowi Szymanowskiemu, wystarczyło po prostu zajrzeć do pisma Klementyny z Tańskich Hoffmannowej, która ukrywając adresatkę, ale za to ujawniając autora, fragmenty listów do starościny wyszogrodzkiej — bałamućnie zresztą zestawione i przeinaczone, nie na tyle daleko, żeby nie dało się ich zidentyfikować — cytowała w opowiadaniach biograficznych o Józefie Szymanowskim i Stanisławie Małachowskim. Tak się nie stało. Nie zaważa bowiem najkrótszą i najprostsza droga dochodzić do prawdy”.

Piękną, bibliofilską niemal edycję tej cennej korespondencji w opracowaniu F. Korwin-Szymanowskiego dał nam do ręki Państwowy Instytut Wydawniczy (1973). Są to źródła nie tylko do dzieł naszej kultury narodowej, ale także politycznych dzieł Polski.

A wszystko to zawdzięczamy... przypadkowi. Czy jednak wszystko?

DWÓCH URATOWANYCH

Dalszy ciąg ze str. 1

porcji narkotyków, skierowany był na leczenie szpitalne. Miałem jednak nadzieję, że chłopak zdoła przezwyciężyć samego siebie i skończy z zażywaniem ogulpiających go i szkodliwych dla jego organizmu środków toksycznych. Dzięki Poradni otrzymał pracę i zaczął uczyć się w szkole wieczorowej.

2.

Jerzy skończył lat siedemnaście. W niedzielne popołudnie mroźnego gru-

dniewego dnia leżał nieprzytomny na ławce w jednym z łódzkich parków. Gdyby tak wiedział, jak na tę ławkę trafił. Od owego parku bowiem do miejsca, w którym wraz z kolegami pił wódkę, trzeba przemierzyć ulicę dwóch dzielnic. Jerzy spędził noc w Izbie Wyrzeczów, gdzie około północy odzyskał przytomność i przerażony odzyskał przytomność i przerażony sytuacją, w jakiej się znalazł, nie mógł już zasnąć.

Nie uczy się i nigdzie nie pracuje. Czas spędza z takimi jak on wyrzutekami. Żyją z tego, co zdołają ukraść. Piją przeważnie najtańszy alkohol, są

zdemoralizowani, wulgarni, zdolni wyłączyć do cynizmu i łgarstw.

Rozmowa z Jerzym jest szalenie trudna. W końcu przelamują się lody. Chłopak nie wie, kim chciałby zostać. Przyszłość to dla niego sprawa mglista i nie leży w kręgu jego zainteresowań.

Czasami zdarzają się chwile budzące rozterkę. Wtedy żałuje, że rzucił szkołę, że przestał rysować i malować, choć miał do tego talent. Żałuje, że dla przypadkowego przechodnia, który mijają stojącą grupkę chłopaków przesiadającą się w komponowaniu bluzniarstw, jest zerem budzącym postrach.

Kiedyś zebrał się w mieszkaniu jednego z kolegów, którego matka miała mieć jakieś zebranie do późnych godzin wieczornych. Przygotowali się do biesiady alkoholowej, gdy niespodziewanie matka przyszła, aby się przedbrać przed zebraniem.

— Początkowo była zdziwiona naszą obecnością i winem, którego nie zdążyliśmy ukryć — opowiada Jerzy. — Przywitana się i najstarszego z nas poprosiła, aby nie dopuścić do pijaństwa, aby nasze spotkanie wypadło kulturalnie. Nie było więc żadnej

Dalszy ciąg na str. 4

LEKTOR

Tłumaczył: R. WYSOCKI

Julian poskrobał się ołówkiem w czoło.
 — Będzie dość czasu jutro, żeby to dopisać, jeżeli komisarz uzna za potrzebne.
 — Mogę odejść?
 — Jeżeli chodzi o mnie — tak.
 Znalazł się znowu na mokrym korytarzu. Staruszkowi nie było już w oszklonę poczekalni, siedział tam już inny woźny ze srebrnym łańcuchem i medalem. Zszedłszy na dół, na powrót znalazł się na deszczu, w wicherze, się nie przypisywał kroku, by dotrzeć do samochodu. Cały zmoczony usiadł za kierownicą.

ROZDZIAŁ II

Pochylił się do przodu nad kierownicą, by mimo wszystko widzieć trasę poprzez szybę, jechał w górę Polami Elijskimi, nie próbując nawet uporządkować myśli. Miał pretensje do nieśmiałego inspektora, do komisarsza Roumagny, do Juliana, zimnego sternografa za to, że go ponizili, a mówić dokładniej, że do tego stopnia wytracił go z równowagi swoimi pytaniami, że nie mógł się pozbierać.

Zauważywszy wolne miejsce przed barem, zahamował gwałtownie, ryzykując zderzenie z samochodem, który jechał tuż za nim, a którego kierowca zaczął gestykulować i obrzucać go obelgami. Czuli, że musi coś wypić. Nie znał baru i barmana również go nie znał.

— Proszę Scotch, Podwójna...

Pił dużo. Kocur też, i w ogóle wszyscy jego przyjaciele, wszyscy współpracownicy. On jednak miał nad innymi to przewagę, że nigdy nie był na prawdę pijany i na drugi dzień nie miał kaca.

Nie do pomyślenia, żeby jego żona, po roku...

O mało nie odwrócił się w bok i nie odeszła od niego, jak gdyby siedział tuż obok. Była do tego przyzwyczajona.

Czego właściwie chciał się dowiedzieć zastępca komisarsza na temat ich stosunków? W jaki sposób można by mu to wyjaśnić? Postawiono mu pytanie, czy wciąż jeszcze się kochali. Co oznaczało to słowo?

Nie było to tak, jak funkcjonariusz policji sobie wyobrażał. On był w redakcji, przy ulicy Marignan, albo w drukarni. Ona telefonowała do niego: — Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

Nie pytał, gdzie była. Ona nie pytała go, co w tym momencie robi.

— Jeszcze nie.
 — Przyjeżdżam do ciebie?
 — Powiedzmy o godzinie dwudziestej, w „Cloccheton”.

Był to bar naprzeciwko redakcji. W Paryżu była pewna liczba barów, gdzie się umawiali. Niekiedy czekała na niego godzinę bez zniecierpliwienia. Zajmował miejsce koło niej.

— Podwójna Scotch.
 Nie witał się pocałunkiem, nie stawał sobie pytan, z wyjątkiem jednego:

— Gdzie jemy kolację?
 Prawie zawsze w jakimś bistro, małej lub większej modnym. Jeżeli udawali się tam sami, spotykali kumpła i ostatecznie grupowało się ośmiu lub dziesięciu osób przy stoliku.

Ona była obok niego. Nie zwracał na to uwagi. Miał tylko to świadomość, że jest obecna. Nie bronila mu nie ani późno w nocy wymyślać idiotyczne zabawy, jak na przykład ustawiać się szybko przed pedącym samochodem dla sprawdzenia refleksu kierowcy. Setki razy o mały włos nie został zabity. Jego kumpła tak samo.

— Idziemy zorganizować awanturę u Hortensji.
 Był to nocny lokal, który odwiedzali. Hortensja lubiła ich, a równocześnie trochę się ich bała.

— Ależ tu nudy u ciebie, staruszk. Kto taki ten stary idiota naprzeciwko nas...
 — Pan jest mężem?
 — Cicho, Alain. To ważna osobistość, która...

— Nie podoba mi się jego krawat.
 Hortensja zrezygnowała. Alain, podchodził do pana naprzeciwko i uprzejmie go pozdrawiał.

— Wie pan, że nie podoba mi się pański krawat? Absolutnie mi się nie podoba...
 Człowiek, najczęściej w towarzystwie, nie wiedział, co powiedzieć.

— Pan pozwoi?

Zdecydowanym ruchem zrywał go, z kieszeni wyjmował nożyczki i zaczynał ciąć.

— Może pan to sobie zachować na pamiątkę.
 Niekiedy wcale nie reagowali. Inni wpadli w furję, ostatecznie prawie zawsze ustępowali.

— Barman, to samo.
 Wychylił kieliszek jednym tchem, wytał usta, zapalił i znowu brnął przez kurtynę deszczu, by zamknąć się w samochodzie.

W domu zapalił wszystkie światła, zastanawiając się, co zamierzał robić. Miał dziwne uczucie, że jest sam, bez Kocura.

Powinien być teraz w alei Suffren, w nowej restauracji, którą wynajął Peter i gdzie tuż kumpła miało spotkać się na kolacji. Czy telefonować i usprawiedliwić się?

Wzruszył ramionami, podszedł do barku, urządnego w rogu atelier. Pracował w nim kiedyś sławny malarz, portrecista, którego nazwisko wszyscy zapomnieli. Było to mniej więcej w 1910 roku.

Nie lubił pić sam.
 — Na zdrowie, moja staruszk!
 Wyciągnął kieliszek w stronę do fikcyjnego Kocura. Potem utkwił wzrok w aparacie telefonicznym.

Do kogo dzwonić? Zdało mu się, że musi do kogoś dzwonić, ale nie wiedział do kogo. To nieważne. Nie czuł głodu.

Gdyby miał bliskiego przyjaciela... Miał kumpła, kumpła na tużyni, tych, którzy pracowali z nim w tygodniku, aktorów, reżyserów, śpiewaków, nie licząc barmanów i kierowników restauracji.

— Słuchaj, mój króliku...
 Wszystkich nazywał „mój króliku”. Adrianna też. Od pierwszego dnia, kiedy ją poznał. Była spokojna, zbyt mdła, jak na jego gust. Co do tego pomylili się. Nie była mdła, rozumiał to dopiero w trzy miesiące później.

Co sobie myślał ten idiota małż? Nie lubił Blanchetę. Nie cierpiał ludzi tego pokroju, pewnych siebie, dostojnych i sztywnych, bez odrobiny fantazji.

A gdyby tak zadzwonił do Blanchety? Choćby tylko po to, żeby zobaczyć, jak on to wszystko przyjął...

Wzrok jego padł na komodę i przypomniał sobie, że ma zawieszony na bieliźnie i przybory toaletowe. Walizki znajdowały się w szafach ściennych na korytarzu. Wybrał jedną pokazanych rozmiarów.

W co ubiera się kobieta, w cel policyjnego aresztu? Szuflada pełna była wytwornej bielizny i był zaskoczony, że tyle tu tego jest. Wybrał nylonowe koszule, majtki, trzy piżamy, następnie sprawdził, czy w neseserze jest szczoteczka do zębów i mydło.

Zawahał się, czy nie wypić jeszcze jednego kieliszka, wzruszył ramionami, wyszedł i zamknął drzwi na klucz, zostawiając wszystkie światła. Przemierzając spory odcinek Paryża, wciąż jeszcze w deszczu, choć trochę mniej rzęsiwym. Wiatr „cichł”. Teraz był to deszcz jesienny, drobny, ospały i zimny, który zanosił się na parę dni. Przechodnie maszerowali szybkimi krokami, pochyleni do przodu, uskakując przed przejeżdżającymi, ochlapującymi ich pojazdami.

Nabrzące Horiage. Mętne światelko nad kamiennym portalem. Korytarz bardzo szeroki, bardzo długi, jak kanał, u wylotu którego siedział za blukiem strażnik w mundurze. Strażnik z widocznym zniechęceniem przyglądał się Alainowi idącemu z walizką.

— Czy u pana jest pani Jacqueline Poltaud?
 — Chwileczkę.
 Zajrzał do rejestru.

— Zgadza się.
 — Czy nie chciałby pan wręczyć jej tę walizkę?
 — Muszę porozumieć się z szefem.

Podszedł do drzwi, zapukał, zniknął, w parę minut później wrócił z grubym mężczyzną, który miał rozwiązany krawat, rozpięty kołnierzy koszuli i rozluźniony pasek spodni.

— Pan jest mężem?
 — Tak.
 — Ma pan dokumenty?
 Okazał. Mężczyzna długo je oglądał.

— To pan robi to pismo z tymi zabawnymi zdjęciami? Muszę sprawdzić, co jest w tej walizce.
 — Proszę ją otworzyć.
 — Według regulaminu, pan sam powinien ją otworzyć.

Wszyscy trzej stali jakby w oświetlonym słabo tunelu. Alain otworzył walizkę, następnie neseser z przyborami

toaletowymi. Funkcjonariusz pogrzebał grubymi paluchami w bieliźnie, z neseseru usunął nożyczki do paznokci, pilnik, szczypczyki do usuwania włosów, zostawiając jedynie szczoteczka do zębów i mydło.

Usuwane przedmioty jeden po drugim podawał Alainowi, który odruchowo wsuwał je do kieszeni.

— Zaraz pan to jej zaniesie?
 Sprawdził godzinę na grubej kieszonkowej cebuli.

— Jest wpuł do jedenastej. Według regulaminu...
 — Jak ona się czuje?
 — Nie widziałem jej.

Oczywiście, nikt nie był ciekawy, jak zachowywał się Kocur.
 — Czy ma osobną celę?
 — Jasne, że nie. W tej chwili mamy nadkomplety.

— Nie wie pan, z kim jest?
 Tamten wzruszył ramionami.
 — Na pewno dziwił. Przywożą je nam bez ustanku. Proszę! Jeszcze jeden transport...

Karetką więzienna zatrzymała się przy chodniku i inspektorzy w cywilu wpychali stado kobiet pod sklepienie. Minal je, wychodząc. Widać było, że większa część to stali goście, ale były też trzy, czy cztery mode, z trwoga w oczach.

Co robić? Do domu nigdy tak wcześniej nie wracał, nawet z Kocurem. Jeżeli nie zależe się na całego, nie złoła usnąć, a nie miał najmniejszej ochoty przeżuwać tych myśli, które cisnęły mu się do głowy.

To uczucie nagłego osamotnienia było dla niego czymś nowym. Siedział więc w samochodzie, na ciemnym i opustoszałym nabrzu, z papierosem w ustach, wsłuchując się w szum wezbranych Sekwany i nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd się udać.

Był pewien, że w dwudziestym, pięćdziesięciu barach lub kabaretach nocnych spotka ludzi, których nazywał od lat „mój króliku” i którzy uściśnawszy mu rękę, spytają:

— Scotch?
 Również kobiety, wszelkiego pokroju, takie, z którymi spał, i takie, z którymi jeszcze tego nie robił albo też z którymi miał ochotę to zrobić.

Siedzenie obok niego było puste i zimne.
 Na ulicę de l'Université? Do szwagra? Jakąż to zrobił minę jego dostojny i ważny szwagier, dowiedziawszy się, że jego żona została zabita kulą w...

Właśnie, nie powiedziano mu, czy Kocur celował w głowę, czy w pierś. Wiedział tylko, że potem podszedł do okna i przycisnęła twarz do szyby, to było do niej podobne. Robiła tak często. Kiedy do niej mówił, stała bez ruchu i dopiero w dobrą chwilę później odwracała się, by zapytać z niewinną miną:

— Mówiłeś coś?
 — O czym myślałaś?
 — O niczym. Wiesz dobrze, że nigdy nie myślę o niczym...

Dziwna dziewczyna. Adrianna też. Jej ogromne oczy o niezmiernie długich rzęsach najczęściej nie wyrażały żadnego uczucia. Wszystkie dziewczyny były dziwne i chłopy. Mówi się o nich, a nie się o nich nie wie. Wypisuje się o jednych i o drugich rzeczy, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. A czyż on nie był dziwnym typem?

Policjant, który wyszedł zacerpnąć świeżego powietrza, zapinając pas, podszedł parę kroków, by mu się przyrzec. Alain „wolał zapuścić motor”.

Jutro rano dzienniki... Zdziwił się, że jeszcze nie natknął się na reporterów i fotografów. Powinni próbować przemilczeć całą aferę tak długo, jak tylko można. Przez wzgląd na niego, albo przez wzgląd na jego szwagra, który był przecież wysokim urzędnikiem?

W rodzinie Blanchetów wszyscy byli wysokimi urzędnikami, ojciec, trzech synów. Kiedy przyszło na świat pierwsze dziecko, na pewno postanowiono: — Politechnika!

Przy drugim — Wyższa Szkoła Pedagogiczna. Przy trzecim — Inspektorat Finansów.

Wszystko poszło jak o małe. Wszyscy byli ważni, wszyscy zainstalowani w przestronnych, oficjalnych gabinetach, z woźnym w łańcuchu przy drzwiach.

Aż cuchnęło od nich!
 Miał tego dosyć. Chciałby coś zrobić, z kimś mówić, ale wciąż nie wiedział z kim. Na ulicy Rivoli wstąpił do baru, który znał.

— Czołem, Gaston.
 — Pan sam, panie Alain.
 — Widzisz, wszystko się zdarza.
 — Podwójna Scotch?

Wzruszył ramionami. Dlaczego miał naraz zmieniać trunki?

— Mam nadzieję, że pani Kocur czuje się dobrze.
 — Nie ma jej w Paryżu?
 Odezwała się w nim potrzeba wywołania skandalu.

— Ależ jak najbardziej w Paryżu. W samym środku, w sercu Paryża.
 Gaston patrzył na niego, nie rozumiejąc. Jakąś parą przy barze, która słuchała, obserwowała go w lustrze za rzedem butelek.

— Moja żona jest w areszcie policyjnym.
 Nie wywołało to u barmana żadnej reakcji.

— Nie znasz aresztu policyjnego na wybrzeżu Horiage?
 Bez konkretnego powodu tamten usiłował się usmiechnąć.

— Zabła swoją siostrę.
 — Wypadek?
 — To mało prawdopodobne, bo trzymała w ręku rewolwer.

— Pan chyba żartuje?
 — Przeczytaś o wszystkim jutro w rannych gazetach. Zabaw się.

Położył na kontuarze banknot stufrankowy, zeszkoczył z taboretu, nie jeszcze nie postanowiwszy i w kwadrans później znalazł się na ulicy. Naprzeciwko drzwi, na trotuarze, stała grupa, z dwadzieścia osób, wśród których łatwo było poznać fotoreporterów.

Już chciał nacisnąć na pedał. Po co? Stał, tymczasem trzasnęły flesze. Wszyscy rzucili się do drzwiczek wyszedł w gę z auta z dostojną miną, na jaką tylko było go stać.

— Chwileczkę, Alain...
 — Walcie, kochani...
 Pozował przed otwartym samochodem, na brzegu chodnika, następnie zapalając papierosa. Reporterzy mieli w rękach notesy.

— Proszę mi powiedzieć, panie Poltaud...
 Był to jakiś zielony, który jeszcze nie wiedział, że wszyscy nazywali go Alain.

— Nie uważacie, moje dzieci, że tu trochę mokro. Czemu nie mieliśmy wdepnąć do mnie?

Trzeba było go znać dobrze, tak jak Kocur, żeby zdać sobie sprawę, że głos jego nie miał normalnego brzmienia. Nie było to głos posępny jak na policję. Przeciwnie, miał metaliczną dźwięczność.

— A więc wchodźcie... skoro już tu jesteście...
 Wcisnął się w ośmiemkę do windy, reszta wadła tymczasem na schody.

Spotkali się na schodach i Alain zaczął szukać klucza, w końcu znalazł go w kieszeni, do której normalnie nigdy go nie kładł.



Dalszy ciąg nastąpi

DWÓCH URATOWANYCH

Dalszy ciąg ze str. 3

Sięgnijmy teraz do genezy jej powstania.

by, które ukończyły lat 18, tymczasem Sebastian wszedł dopiero w siedemnasty rok życia. Tak więc decyzja zależy od Kuratorium Okręgu Szkolnego.

4.
PORADNIA CHOROŃ UKŁADU NERWOWEGO DLA MŁODZIEŻY zajmują się rocznie ponad 250 pacjentami w wieku od lat 14 do 18-ego roku życia. Jest placówką podległą Przychodni Chorób Układu Nerwowego dla m. Łodzi (Przędzalniana 1/3).

5.
 Poradnia powstała w styczniu 1961 roku z inicjatywy dr Aleksandry Majewskiej, która z alkoholizmem młodzieży zetknęła się podczas swego długoletniej pracy w Poradni Przeciwalcoholowej dla Dorosłych oraz w Izbie Wyrzeźwien. Dr A. Majewska zwróciła bowiem uwagę na niebezpieczeństwo, które zagraża młodzieży i dzieciom mającym pośredni i bezpośredni kontakt z alkoholem. Jako pedagog społeczny i badacz, w roku 1957 rozpoczęła pracę badawczą nad młodzie-

żą pijącą, zatrzymywaną w łódzkiej Izbie Wyrzeźwien. Badaniem tym przyswlecał cel szukania właściwych dróg uchronienia dzieci i młodzieży przed skutkami alkoholizmu. Realizacja tego celu stała się podstawą utworzenia instytucji przeznaczonej specjalnie do opieki nad dziećmi z rodzin alkoholizujących i nad młodzieżą pijącą.

W swym początkowym okresie poradnia przyjęła nazwę „Poradnia Lecznico-Wychowawcza”. Nadzór fachowy oraz administracyjny przejęła nad nią Wojewódzka Przychodnia Zdrowia Psychicznego. Do pracy przystąpiło trzech pedagogów społecznych i jeden socjolog w roli asystentów społecznych (łącznie 3 etaty) oraz lekarz psychiatra (pół etatu).

Spójrzmy teraz, jak dzisiaj to wszystko wygląda. Poradnia mieści się nadal w tym samym ponieszczęniu — nazbyt skromnym i ciastym, choć w międzyczasie postulowano nawet, że tego rodzaju placówki powinny powstać w każdej dzielnicy Łodzi. W pewnym okresie prowadziła działalność świetlicową dla swych młodocianych pacjentów. Świetlica jednak mogła być czynna tylko raz w tygodniu i udośćpniiona wyłącznie

dla wąskiej grupki pacjentów, ponieważ urządzona została w miarę możliwości w maleńkiej poczekalni.

Brak pomieszczeń zmusił poradnię do zwężenia kręgów zainteresowań. Jeśli więc na samym początku zajmowano się tu młodzieżą do lat 20 i w pierwszym roku liczba tej młodzieży wynosiła 671 z łącznej ilości ponad tysiąc zgłoszeń, tak dzisiaj pacjentami poradni może być tylko młodzież do lat 18 i liczba jej nie przekracza rocznie osób 300. Należy dodać, że pacjenci poradni rekrutowali się zawsze z Izby Wyrzeźwien, Izby Dziecka MO, szkół, Sądu dla Nieletnich, Komendy Dzielnicowych MO, Poradni Społeczno-Wychowawczej TPD oraz z Poradni Przeciwalcoholowych dla Dorosłych. Odpada także inicjatywa opiekowania się dziećmi z rodzin alkoholizujących. Od niedawna natomiast zajęto się tutaj młodzieżą cierpiącą na nalóg narkotyczny.

Szkoly współpracowały z poradnią najmniej chętnie, co świadczy o braku zainteresowań pedagogów sytuacjami i warunkami rodzinnymi uczącej się młodzieży. Szkoly bowiem wychodzą najczęściej z założenia, że

nie ma w nich miejsca dla młodzieży pijącej alkohol i popadającej w nalóg narkotyczny. Przeświadczenie to opiera się na zasadzie ratowania większości uczniów przed tymi nalogami poprzez wydalanie ze szkół tzw. „złych duchów”.

A przecież w trudnych, żelowych sytuacjach młodzieży bardzo ważna jest życzliwa i rzeczowa opieka ze strony pedagogów, nie zaś powodowanie jeszcze większych skutków z którymi walkę podejmuje dopiero poradnia. Komendy Dzielnicowe MO oraz Sądy dla Nieletnich

6.
 Obaj chłopcy, Sebastian i Jerzy są zadowoleni, że wśród pracowników poradni znaleźli ludzi życzliwych i przyjaznych, potrafiących się nimi zainteresować i zaopiekować. Ale ogromna większość młodocianych pacjentów unika zgłaszania się w poradni i przychodzi dopiero wówczas, gdy jest doprowadzona przez funkcjonariuszy MO.

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

W końcu lat pięćdziesiątych „abstrakcyjny ekspresjonizm” (informel), którego najwybitniejszym przedstawicielem był Jackson Pollock (1912–1956), stopniowo przestaje odgrywać decydującą rolę w kształtowaniu nowego widzenia plastycznego. Pollock, twórca „action-painting”, traktował obraz jako sprawozdanie z akcji malarskiej, zapis odzwierciedlający uczucia i temperament a przez to stający się integralną częścią osobowości artysty, śladem czynności wykonanej przy użyciu farby pod wpływem silnego napięcia twórczego. Jego następcy młodzi malarze i rzeźbiarze amerykańscy: George Segal (ur. 1924) Robert Rauschenberg (ur. 1925), Andy Warhol (ur. 1928), Jasper Johns (ur. 1930), James Rosenquist (ur. 1933) i inni, którzy rozpoczęli działalność artystyczną na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nie uciekają w abstrakcję od otaczającej rzeczywistości, czerpią ze świata form realnych, ożywiają go i odradzają.

Początkowo kierunek ten nazwano „nową figuracją”, później wprowadzono szereg terminów mających ustalić odrębność poszczególnych ugrupowań. „Nowy realizm”, „neodadaizm”, „pop-art” określały pozorne różnice w granicach tego samego ruchu, nie wnosząc nic istotnego do głównego założenia, jakim był społeczny reportaż. Terminem używanym stosunkowo najczęściej, ale przyjmowanym niechętnie przez samych artystów jest „pop-art” — „sztuka popularna”.

„Pop-art” narodził się w atmosferze

świata sensacji, reklamy, w momencie, gdy różnorodny system urządzeń rozrywkowych nowoczesnych miast, wypełnił całą przestrzeń życiową mieszkańców. Plakaty i neony przesyłają nicosć pięknych fizycznie bohaterów, a podniecająca gra artykułami rozrywkowymi z rzadka tylko pozwalają zauważyć brud i niedzę dnia codziennego. Z okładek spoglądają piękne dziewczyny, kuszą reklamy kosmetyków, fotoreportaż uroczystości i katastrof, samochodów, samolotów, rakiet, badanie kosmosu, absurdałna kotłownia sprzecznych informacji, mądrości głupoty, sukcesów i nieszczęść — to punkty wyjścia, główne tematy „pop-artu” kierunku postępującego się zarówno obiektywnym reportażem jak i sztywną bezlitosną rejestracją.

Rzeczywistość obnażona w dziełach twórców „pop-artu” przekazywana jest metodami działania współczesnej reklamy, pełna rekwiwizytów, barwnych opakowań, ludzi i rzeczy, fotografii i autentycznych przedmiotów, rzeczywistość katechetyczna i odradzająca. Forma, materiał i barwa są tylko środkami do wyrażania głębszych treści, sportretowania pożądanego ludzi bezwzględnej apokaliptycznej bestii, nazywanej cywilizacją. Wszystko to sprawia, że „pop-art” jest kierunkiem, dokumentującym rozkład cywilizacji konsumpcyjnej, pełnym rewolucyjnych treści o charakterze społecznym, zaangażowanym nie tylko w wizualną stronę zdarzenia, agitującym politycznie.

Spośród wzmiankowanych artystów

dwóch prezentowało swoje prace łódzkiej publiczności. W roku 1970 Muzeum Sztuki wystawiło 30 prac Jaspera Johnsa, a w bieżącym roku można było oglądać dzieła Roberta Rauschenberga. Obaj artyści należą do czołówki amerykańskiego „pop-artu”, twórczość ich wywodzi się z „ekspresjonizmu abstrakcyjnego” z konsekwentnego rozwinięcia metody „action-painting” poprzez wprowadzenie do akcji form figuralnych i przedmiotów rzeczywiście. Kiedy krytyka amerykańska po XXXII Biennale w Wenecji (1964 r.), głosiła, że „w pozytywnym i konstruktywnym” wizerunku świata Johnsa i Rauschenberga nie ma miejsca na komentarz społeczny, satyrę i politykę”, wyrażała raczej swoją optymistyczną nadzieję niż stan faktyczny. Obrazy Johnsa, których przykładem może być rozstrzelany „Sztandar” Stanów Zjednoczonych, czy „Tarcza” oczekująca na strzał, trudno nazwać niezangażowanymi. Łódzka wystawa Roberta Rauschenberga zawierająca jego ilustracje do „Piekiła”, pierwszej części „Boskiej Komedii” Dantego, również potwierdza to opinie.

Pracę nad „Piekiełem” Rauschenberg rozpoczął na początku 1959 roku, pochłonięta ona niemal całkowicie dwa lata wyteżonego działania. Po raz pierwszy wystawił swoje „34 pieśni” poematu Dantego dopiero w grudniu 1960 roku w Galerii Leo Castelli w Nowym Jorku. Oryginały ilustracji zostały niemal natychmiast zakupione i ofiarowane Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku.

Piekieło Dantego widziane oczami Rauschenberga to wizja świata współczesnego, pełnego odpadów i śmieci, w którym najwspanialsza idea sąsiaduje z rzezią na bezbronnej ludności, a na wybitne osiągnięcia rozumu ludzkiego nakładają się eksplozje pocisków. Obrazy świata wtłoczone w tryby niszczycielskiej maszyny, rozdarłe, zniekształcone, ludzie jako przedmioty do spekulacji i zabawy, tworzą mozaikę przenikających się rycin, pozabawionych pierwotnej treści i znaczenia, zmitych i zdeptychanych. Wśród pensjonariuszy „Piekiła”, wśród wielu anonimowych twarzy pojawia się m. in. oblicze Johna Kennedy, Richarda Nixona, stałymi bohaterami są Adlai Stevenson, uosabiający Wergiliusza oraz nagi chłopiec z reklamy „Sports Illustrated”, jako Rauschenberg — Dante.

„Rauschenberg jest jak gdyby kosmopolitą czasu — pisała o nim Dora Ashton, znany krytyk amerykański. — Zapozycza on od Dantego, który zapożycza od Wergiliusza, który zapożycza od Homera — który z kolei oddziaływał na Rauschenberga, który oddziaływał na nas, który... itd. Wielkie kolo zapożyczeń. Najpierw „Piekieło” jest dziełem pisany. Po drugie jest komentarzem dotyczącym okresu, który się żywił innymi dziełami piśnianymi i komentarzami. Rauschenberga „Piekieło” jest komentarzem na temat pisanego przesłania i na temat jego własnej przeszłości; w ten sposób artysta pisze komentarz do komentarza. Komentarze coraz to dalej komentują komentarze tak jak niegdyś powstawały w prawie rzymskim glosy, wciąż dalsze, bez końca. Oto, być może, co znaczy kultura”.

Rauschenberg tworzy swoje „obrazy-zestawy”, używając różnorodnych technik, często w obrębie jednego dzieła: assamblaż, rysunek, monotypia, litografia, kompozycja malarska na odbitce serigraficznej traktowanej jako podkład, to jedynie przykłady

Jego możliwości, ale nie w technice należy szukać klucza do jego twórczości. Wielowątkowość, powtórzenia, zatarcia, współuczestniczenie różnych materiałów malarskich, realny przedmiot i fotografia odbita bezpośrednio z gazety, to tylko materiał niezbędny do stworzenia zapisu współczesnego świata, którego Rauschenberg jest krytycznym obserwatorem i kronikarzem.



Fot. Archiwum

ROBERT RAUSCHENBERG urodził się w 1925 roku w Port Arthur (Texas), studiował malarstwo w latach 1946-50 (Kansas City, Paryż, pracownia Josefa Albersa, Nowy Jork). Początkowo malował obrazy monochromatyczne. W czasie podróży do Afryki i Włoch (1953 r.) tworzył kompozycje inspirowane przedmiotami-fetyszami ludów Północnej Afryki.

Od roku 1955 powstaje coraz więcej „przedmiotów”, assamblażów, kompozycji z pogranicza malarstwa, nazywanych „combine-paintings”. Od 1955 r. współpracował też ze słynnym baletem Marce Cunninghama jako autor kostiumów, dekoracji, inscenizator i aktor. Uczestniczył w wystawach młodej generacji, określonej później jako generacja „pop-artu”. W 1961 r. nawiązał kontakt z grupą paryskich „nowych realistów” (Jean Tinguely), z nimi zrealizował w Stedelijk Museum w Amsterdamie przestrzenną aranżację wnętrza (environment) pt. „Dyblaby” (1962 r.) W 1963 r. otrzymał „Grand Prix” na Biennale w Lubjanie, a w roku następnym głośno komentowane „Grand Prix” na Biennale w Wenecji. W 1964 r. odbył tournée z baletem Cunninghama. Był z tej okazji uczestnikiem festiwalu „Warszawska Jesień”.

Od 1964 r. reżyserował samodzielnie przedstawienia teatru eksperymentalnego.

W 1967 roku był współinicjatorem stowarzyszenia „Experiment in Art and Technology” (EAT), które inspirowało współpracę artystów i inżynierów w dziedzinie wykorzystania najnowszych zdobyczy techniki dla działań artystycznych. Obecnie obok twórczości plastycznej, zajmuje się teatrem eksperymentalnym.

DANTE ALIGHIERI

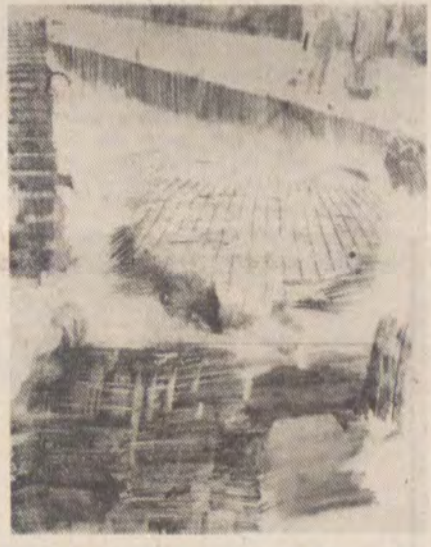
„Jak szpaki, gdy je wiatr jesienią łowi,
Snują w powietrzu długie, zbite chmary,
Tak się miotają, poddane whorli,
W górę, w dół, tam i sam nieszczęsne mary;
A nigdy nędznych losu nie poprawi
Bogdaj nadzieja łagodniejszej kary.
I jak zawodzą pieśń swą, klucz zuraw
Długim się sznurzem po niebiosach wlecze,
Tak się mym oczom smutna rzęsa jawi,
Płynące smugą burz duchy człowiecze...”

(fragment Pieśni V)

„Za czym ruszyliśmy z wiernym strażnikiem
Nad tonią wrzasku, co się pasem krwawił,
I gdzie pekały bańki z głośnym sykaniem.
W strudze lud mnogi aż po brwi się plawili.
To jest tyranów ród — centaur powiada —
Co się lupiestwem i mordem splugawili.
Tu się za srogie krzywdy odpowiada...
...Dalej tłum czernił wynurzony ciałem,
Głowę wznoszący, widny aż po brzuchy;
Pośród mar ludzkich niejedną poznałem...”

(fragment Pieśni XII)

Przekład: EDWARDA PORĘBOWICZA



ZŁODZIEJE ARCYDZIEŁ

Dalszy ciąg ze str. 1

Odbywa się to tak: przestępcy okradają czyjeś mieszkanie i, przeczekawszy jakiś czas, telefonicznie proponują zwrot zrabowanego dzieła za sumę znacznie niższą od tej, na którą było ubezpieczone. I nierzadko towarzystwa ubezpieczeniowe same wykładają żądaną kwotę. Jest im to, oczywiście, bardziej na rękę niż wypłata odszkodowania. Wprawdzie głośno się o tym nie mówi, ale w ostatnich czasach karabinierzy, dzięki takiemu postępowaniu szantażowanych, zdolali zwrócić właścicielom niejedno dzieło sztuki. Pozwala to organom ochrony porządku odnotować w swoich raportach jeszcze kilka zamkniętych dochodzeń choć nie ulega wątpliwości, że podobne środki jedynie rozuczuchwalały sprawców.

WARIANT DRUGI

Przypuścimy, że obraz Giorgione został ukradziony nie przez miejscowych złodziei, a przez wyślaników gangu „specjalizującego się” w „eksporcji” dzieł sztuki. Byłaby to zupełnie inna sprawa. W tym bowiem przypadku „Madonna” Giorgione stałaby się przedmiotem złożonych operacji spekulacyjnych wymagających znacznych wkładów pieniężnych i na zakończenie tej afery przyszłoby czekać jeszcze długo. „Nabywca” musiałby się przygotować na przechowywanie cennego płótna w ścisłej tajemnicy, może nawet przez kilka dziesięcioleci do czasu, kiedy zmniejszy się ryzyko zdemaskowania dróg, jakimi wszedł w posiadanie arcydzieła.

Podobny przypadek miał miejsce z innym malowidłem sakralnym, przedstawiającym Madonnę. Mam tu na myśli obraz na podłożu drewnianym, malowany w XIII w. i ostatnio również ukradziony z kościoła. Przez dwa lata wydawało się, że dzieło jest stracone bezpowrotnie. Aż nagle przewodniczący włoskiej grupy działającej w międzynarodowej Komisji rewindykującej zaginione dzieła sztuki został powiadomiony, że znanemu nowojorskiemu antykwariatowi zaproponowano nabycie XIII-wiecznej Madonny. Natychmiast opis i zdjęcie zaginionego obrazu przekazano amerykańskiemu agentom Komisji i wkrótce okazało się, że istotnie oferowanym dziełem była zaginiona bez wieści Madonna.

Kto usiłował amerykańskiemu antykwariatowi sprzedać skradziony obraz?

Odpowiedź zakrawała na fantazję: w roli posiadacza występował działacz i funkcjonariusz ministerstwa kultury. Antykwariusz został propozycją o przeciągnięciu targów, ale kontrahent poczuł pismo nosem i zerwał rozmowy.

Wobec tego innej, równie znanej firmie antykwarskiej zlecono dyskretnie przeprowadzenie wywiadu. Nawiązano więc kontakt z „właścicielem” obrazu i dzięki temu dano się ustalić, jakie były losy malowidła. Oto skradzione dzieło zostało przewiezione do Mediolanu, stamtąd przez „zieloną granicę” do Zurychu, a wreszcie do księstwa Liechtenstein. Tu zorganizowano swego rodzaju „aukcję” mającą na celu stworzenie

pozorów legalnej transakcji. Przecież człowiek nabywający dzieło na aukcji staje się jego bezspornym posiadaczem.

W taki sposób obraz ten zdobył pewien Brazylijczyk. Antykwariatowi udało się nawiązać z nim kontakt. Niestety i on nie miał bezcennego dzieła. Zaproponował natomiast obejrzenie obrazu zadeponowanego... w Szwajcarii. Ustalono cenę na 300 milionów i zmontowano ekipę w skład której weszli eksperci mający ustalić autentyczność obrazu, a przewodniczącym włoskiej grupy w Komisji Rewindykacyjnej wziął na siebie rolę konserwatora dzieł sztuki. Okazało się, że skradzioną Madonną przechowywana jest w luksusowej willi, należącej do pewnego pasera. Porozumiano się ze szwajcarską policją, skonfiskowano dzieło i przekazano prawowitym właścicielom. Cała ta akcja zakończyła się sukcesem dzięki omyślnemu zbiegowi okoliczności. Z żalem wypada jednak stwierdzić, że na razie nie ma wskazówek, aby podobny happy end miał zamknąć sprawę „Madonny z Castelfranco”.

WARIANT TRZECI

Zajmowaliśmy się naszymi złodziejami i potężnymi organizacjami międzynarodowych gangsterów, jakie operują na światowym rynku. Istnieją jednak związki przestępcze na jeszcze wyższym poziomie, jeżeli idzie o zasięg i rozmach działania. One też stanowią największe niebezpieczeństwo dla artystycznego dorobku Włoch, gdyż rozporządzają ogromnymi środkami finansowymi i cieszą się poparciem czynników politycznych, a nawet rządowych różnych krajów. W ich to ręce mogła trafić „Madonna z Castelfranco”. Wcześniej podobny los spotkał obraz Caravaggia „Św. Piotr wypiera się Jezusa”.

Pewna znakomita rodzina neapolitańska sprzedała ten obraz bogatemu kupcowi, który nielegalnie „od-

stał” go szwajcarskiemu bankowi. Kolejnym nabywcą został holenderski handlowiec, który po pewnym czasie sam zjawił się u przewodniczącego włoskiej sekcji wzmiankowanej Komisji Rewindykacyjnej i oznajmił: — Nabyłem w szwajcarskim banku płótno Caravaggia. Oto rachunek wystawiony mi na wielocyfrową sumę. Zapewniono mnie, że transakcja ma w pełni legalny charakter. Niestety, po fakcie dowiedziałem się, że obraz potajemnie wywieziono z Włoch w 1963 roku. Według włoskiego prawa — sprawy o kontrabandę dzieł sztuki ulegają przedawnieniu po pięciu latach. Obecnie jestem więc legalnym posiadaczem, ponieważ minął już ten termin. Ale, jako człowiek uczciwy, chcę — choćby częściowo — zwrócić obrabowanej Italii dobro, którego ją pozbawiono. Mam więc zamiar ofiarować pańskiej ojczyźnie jakiś inny obraz.

Kiedy przewodniczący Komisji przyszedł do siebie po tak nieoczekiwanej propozycji, zdecydował się skonsultować z ofertą. Poprosił więc o zakupienie dla Włoch dzieła braci Guadagniego, Antonia i Francesco Guardich znajdując go się w Londynie. Holender zgodził się; co więcej — dokładał starań aby prędzej sfinalizować transakcję. Od włoskich czynników oficjalnych otrzymał więc pismo z podziękowaniem za dar stanowiący częściowe odszkodowanie za utracę obrazu Caravaggia i zachwycony Holender przekazał na ręce przewodniczącego Komisji dzieło braci Guardich. Ale tu następuje nieoczekiwany finał: do gabinetu wdierają się karabinierzy i konfiskują dar jako... dowód przestępstwa.

Jak to możliwe? Grupa ekspertów ustaliła, że po pierwsze obraz Caravaggia został wywieziony z Włoch nie w 1963 a w 1969 roku, co za tym idzie — niedawny przemyt jeszcze musiał być ścigany. Po wtóre wymiana Caravaggia za Guardich jakby legalizowała wywóz obrazu i umożliwiła jego sprzedaż na rynku amerykańskim, najbogatszym i najchłon-

niejszym. Poza tym dzięki czynnemu piśmo władz stworzyłoby „szczodremu” Holendrowi możliwość otrzymania nieograniczonej ilości korzystnych ofert, w wyniku których za dzieło sztuki kosztujące go 400 milionów — mógłby otrzymać nawet miliard lirów więcej. Teraz jednak miast zysków — oczekiwało go śledztwo.

Istnieją międzynarodowe porozumienia zobowiązujące wszystkie kraje do wzajemnego informowania się o przypadkach nielegalnej sprzedaży dzieł sztuki za granicę i dotyczące surowego karania winowajców. Jak wskazuje historia obrazu Caravaggia przepisy te można bez większego trudu obchodzić, nawet jeżeli dzieło dzieła „niemożliwe do spieniężenia”, jak „Madonna z Castelfranco”, która pewnego dnia może się okazać „legalnie” sprzedana i stać się przedmiotem spekulacji w jakimś kraju, gdzie władze chronią ateryzistów.

Od roku 1957 do 1972 we Włoszech zdarzyło się 25 tysięcy kradzieży dzieł sztuki. Ani sprawców większości z nich, ani mocodawców nie udało się zdemaskować. Właściciele nie powinni dziwić nawet kradzież płótna Giorgione. W istocie bowiem chodzi przede wszystkim o niechęć władz do radykalnych rozwiązań tego problemu. Bierność, całkowity brak zdecydowania; za to objętości, ignorancji i korupcji — aż nadto.

Przełożył: TC

PIETRO DZULLINO



Fot. W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

bowiem dodatkowo potajemnym wyszynkiem wódki (i spirytusu), sprzedając pół litra za 80 zł.

Adamik naciął siekierki i przyłączył się do towarzystwa. Teraz uczestnicy libacji złożyli się już na cały litr. Pora była późna, gospodyni położyła się spać w pokoju, dzieci w kuchni, goście i gospodarz wyszli do... sieni, żeby wypić wódkę. Mało im było. Wdzięczni właściciele zreperowanych butów złożyli jeszcze — tym razem na ręce gospodarza — sto pięćdziesiąt złotych do kasy gospodyni. Dokończył do tego swoją „dole” Adamik, Józef B. przyniósł pół litra wódki i pół litra spirytusu. Zatarli ręce i szybko wypili wódkę czekając na dalszy ciąg ze spirytusowego zapasu. Gospodarz „dobral” ewentualnie spirytusu, a resztę schował na podwórku przy przyznacie kamieni.

WYPILI

Ten dobrany spirytus i wówczas Adamik zaproponował, żeby resztę też wyszć. Pozostali mężczyźni mieli jednak dosyć — nie chcieli pić więcej. Adamik nalegał bezskutecznie. Kazali mu jechać do domu, ale nie chciał. Minęła dawno północ, dochodziła godzina 4, gdy sąsiedzi pożegnali gościnne choć nie tanie progi domu Józefa B. i poszli trzeźwiec do swych domów. Adamik został. Miał nieustające pragnienie wypicia reszty alkoholu i stałe do tego wracał, wrzście, kiedy szwagier kategorycznie odmówił — stał się agresywny. Doszło do szarpaniny. Józef B. upadł w pewnym momencie, ale podniósł się i wybiegł z sieni. Adamik doprowadzony do wściekłości — raz dlatego, że był już pijany, a dwa, że jego apetyt na wódkę miał być niezaspokojony — chwycił nóż kuchenny leżący w sieni i wybiegł za szwagrem. Dopadł go na podwórku przy studni i ugodził w lewą część pleców. Ranny człowiek biegł z nożem tkwiącym w plecach przez podwórko na drogę i runął koło domu sąsiadów...

Zabójca wrócił do siostry i powiedział jej: „Z Józefem już koniec”, potem wsiadł na rower i odjechał do domu.

Adamik nie przyznał się w śledztwie do winy. Wyjaśnił, że to szwagier chciał go uderzyć nożem dlatego, że zarzucał mu zabranie spirytusu. Wtedy on — Adamik — zaczął uciekać, szwagier go dogonił, a co było dalej nie pamięta, bo był pijany...

BYŁ ŚWIADEK

tego wydarzenia: nieletni syn Józefa B., którego obudził pijacki hałas. Widział jak wuj szarpał się z ojcem,

jak ojciec uciekał, jak Adamik chwycił nóż, dogonił ojca przy studni, zadał mu cios

Adamik stanął przed sądem. Grozi mu bardzo wysoki wymiar kary. Nie ma w okolicznościach popełnienia tej zbrodni elementów łagodzących. Przeciwnie — są obciążające. Rzekoma utrata pamięci nie jest żadną okolicznością łagodzącą, pijaństwo — chociażby prowadzące do takiego stanu — zawsze okolicznością obciążającą.

Jakże trudno doprowadzić tę oczywistą prawdę prawa karnego do świadomości ludzkiej. Jakże godne ubolewania i potępienia są nagminne fakty zalewania się (przepraszam za to słowo, ale jest ono odpowiednie dla określenia stylu picia) alkoholem przy byle jakiej okazji. Nie do pominięcia jest także fakt prowadzenia przez żonę zamordowanego potajemnego wyszynku alkoholu, o czym wszyscy wiedzieli i z czego wszyscy w okolicy korzystali. Znalezione 10 butelek w zapasie. Kilka pustych i kilka pełnych spirytusu. Nie do pominięcia jest także fakt, że listonosz nie dotrzymywał trzeźwości zawodo-

szedł z lokalu. Nie odszedł daleko. Poczekal aż tamten wyjdzie i wówczas — na ulicy — jednej z centralnych w Łodzi — doskoczył do niego i ze słowami „teraz to cię nawet Pan Bóg nie uratuje” — ugodził nożem w brzuch. Raz, potem drugi. Ten drugi cios spowodował tak poważny uraz, że gdyby nie natychmiastowa operacja, człowiek zginąłby.

Młodzieniec był pijany. W naiwnej intencji obrończej przed sądem usiłował obarczyć częścią winy poszkodowanego, imputując mu prowokacyjne i nieetyczne zachowanie się.

Kolejna sprawa: mąż usiłował zamordować żonę. Po pijanemu. Mało brakowało, by pozbawił ją życia. Przed ostatnim — być może śmiertelnym ciosem obueha siekierą — uratowali ją sąsiedzi, kiedy uciekał z domu na podwórko. Odważna sąsiadka chwyciła rękę wznoszącą siekiere do uderzenia i ocalała młoda kobieta.

Eskalacja pijaństwa trwała od kilku lat. Początkowo ona była wielką atrakcją dla oskarżonego, potem atrakcyjniejsza stała się wódka. Potocznie nazywana formą „zagładania do kieliszka” przekształcała się w nałóg, z któ-

na rodząc ideę zemsty. Został skazany na 10 lat pozbawienia wolności, ale nie wiemy, czy rozprawa i uzasadnienie wyroku dotarły do jego świadomości i wytworzyły przekonanie o własnej winie.

W Tomaszowie Mazowieckim przed kilku tygodniami 20-letni chłopak usiłował zabić siekiere swego kolegę. Gonili go po ulicy, dogonił, rzucił z całych sił siekiere w jego kierunku. Napadnięty uniknął śmierci rzucając się w ostatniej sekundzie na ziemię. Młody mężczyzna pił przez kilka dni, szwendając się po lokalach z podobnymi sobie typami. Nie wiadomo, po co przyjechał do Tomaszowa z podwarszawskiej miejscowości. Faktem jest, że znalazł netychmiast partnerów do picia i pił na umór. Zamiar zabicia kolegi powstał na gruncie nieokreślonej bliżej pretensji.

Najczęściej właśnie tak powstają mordercze zamiary, bowiem alkoholowe podniecenie, graniczące często z zatruciem — wyolbrzymia mikrourazy i tworzy rzekome pretensje. Wyszłarczy wówczas gest lub słowo, zrozumiane inaczej lub niedosłyszane, śmiech czy grymas... Zaraz sięga się po nóż, który raz ma ostrze finki, w innym przypadku zwykłego scyzoryka, kiedy indziej noża kuchennego lub siekiery. W zbiornicy dowodów Sądu Wojewódzkiego znajdowały się różne narzędzia zbrodni, skojarzone z okropnymi w treści protokołami z

NÓŻ W BRZUCHU

wej. Przez wódkę wiodła droga do zbrodni, przez wódkę, która jest ciągle w pewnych środowiskach droższa niż życie ludzkie. Zabójstwa i usiłowanie pozbawienia życia wielu osób stają się przestępstwami nagminnymi.

INNE PRZYKŁADY

W ostatnich tygodniach mieliśmy kilka rozpraw sądowych ilustrujących — mówiąc brutalnie — wysoką wartość alkoholu dla pewnych osobników i niską cenę krwi i życia ludzkiego. Oto jedna z ostatnio rozpatrywanych spraw:

Starsi panowie spotkali się po południu w pobliżu restauracji „Golonka”. Weszli tam, siedli i zamówili posiłek i alkohol. Zwykła rzecz. W pewnym momencie podszedł do nich młody człowiek. Zwrócił się do jednego z nieoczekiwaną prośbą: postaw pan wódkę. Mężczyzna kategorycznie odmówił. „Czekaj ty...” rzekł młodzieniec i wy-

rym żona walczyła bezskutecznie. Życie kobiety stało się gehenną, którą postanowiła przerwać rozwodem. Zawiadomiła o tym męża. Od tej pory nasiliła się jego pijacka agresja. Ciągłe awantury połączone z moralnym i fizycznym znęcaniem się nad niewinną kobietą, groźby pozbawienia życia — przybierały na sile. Doszło do tego, że pewnego dnia po pijanemu poszedł do zakładu, w którym pracowała i usiłował pochnąć ją nożem. Żądał wycofania powodów o rozwód. Kategorycznie odmówiła. Wtedy chwycił siekiere i obuchem uderzył w głowę. Nie raz. Może silne zamroczenie alkoholem osłabiło siłę ciosów, bo kobieta nie straciła przytomności i zdołała wymknąć się z mieszkania.

Przed sądem usiłował bronić się w sposób nieetyczny, ale typowy dla alkoholików: oskarżał żonę o zdradę. Tymczasem, jak wykazało postępowanie dowodowe, on sam winien był niedochowania wierności małżeńskiej. Pijacka logika usystematyzowała formy oskarżenia żony w zwiecznięcej psychice i nakazywała wiarę we własne uroje-



Fot. W. Parys

sekcji zwłok pomordowanych przez pijaków i alkoholików.

SUROWE WYROKI

Nie będę przywoływał statystyki dla dobitnego zilustrowania rozmiarów zagrożenia życia ludzkiego na skutek — ogólnie mówiąc — alkoholizmu. Alkoholizm zbiera tragiczne żniwo wlokąc się przez nasze życie we wszystkich jego formach z nożem i siekiere w rękach.

Sądy ferują surowe wyroki. To fakt. Faktem jest jednak to, że nie działają one ostrzegawczo. Racja prewencji ogólnej tkwi zawsze w uzasadnionych wymiarach kary, w imię tej racji pełna apele do odczucia społecznego słowem pisany i mówionym, obrazem telewizyjnym i wmurowanym plakatem. Efektu nie widać.

NOWY PROGRAM

walki z alkoholizmem i jego skutkami został wzmocniony, poszerzony nowymi formami i zaleceniami skierowanymi do wielu instytucji, organizacji i władz terenowych. Zgodnie z dyspozycjami w nim zawartymi tworzy się rejonowe, dzielnicowe, miejskie i inne programy. Bardzo nam się udają, natomiast wykonanie?...

Pewne nadzieje wiąże się z podwyżką cen alkoholu. Zapewne podwyżka napojów alkoholowych nie odniesie skutku w przypadkach, gdzie mamy do czynienia z nałogiem wymagającym leczenia — powiedział premier Piotr Jaroszewicz w swoim przemówieniu na forum sejmowym. Generalnie jednak — kontynuował — wyższe ceny napojów alkoholowych powinny hamować nadmierny wzrost ich spożycia i podnosić kulturę obyczajową w tej dziedzinie. Społeczne skutki pijaństwa są dotkliwe i wielostronne. Jeżeli obecna podwyżka wpłynie na nie ograniczająco, to można się będzie z tego tylko cieszyć.

PODWYŻKA NIE ZADZIAŁA SAMOISTNIE

Ten, który wypija okazjnie, pozostaje obojętny na podwyżkę cen. Wypije jeszcze rzadziej i jeszcze w mniejszej ilości. Ten, który włączył alkohol do swego codziennego bytu ograniczył budżet rodzinny w innych kategoriach spożycia i będzie oszczędzać na wódkę, jeżeli nie spotka się ze współdziałającymi podwyżce siłami oddziaływania społecznego, administracyjnego, wychowawczego i karnego, przy czym to oddziaływanie nasilać się powinno w proporcji przewagi na rzecz likwidacji przyczyn a nie skutków pijaństwa.

ZOFIA TARNOWSKA

NIHIL SUPRA - NIC NAD TO

Starsi ludzie mawiają, że dobrymi intencjami piekło wybrukowano. I chyba mają rację, choć zdarzają się i takie okoliczności, kiedy liczą się intencje i kiedy wystarczają za całą resztę. Andrzej Ostoja pisząc „Zieloną planetę” miał bardzo dobre intencje. Chciał, aby jego książka była wołaniem, sygnałem ostrzegawczym, pokazującym, co może stać się z ludzkością, jeśli się na czas nie opamięta.

Metodę wybrał perfidną. Zaczął od końca. Rzecz całą postawił na głowie,

aby tym większe było wrażenie. I bezpowrotnie uwikłał się w sprzeczności wymaganego świata. Udowodnił raz jeszcze, że od współczesności zbyt daleko oderwać się nie można.

Życie niejednokrotnie już dowiodło, że jest bogatsze i bardziej skomplikowane od naszych najśmielszych fantazji. Być może w nieskończoności Kosmosu jest gdzieś planeta Um, na której żyją stworzenia zbudowane z krystalicznego dwutlenku krzemu, wypielnione płynnym kwarcem, w którym

znajdują się zanurzone systemy organicznych tranzystorów i są to organizmy, które mogą żyć tylko w temperaturze powyżej 500 stopni Celsjusza. Ale nie to jest istotne. Umieci z „Zielonej planety” zbyt przypominają ludzi, myśla jak ludzie i myśli swoje formułują jak ludzie, choć nie mówią a porozumiewają się wyłącznie za pośrednictwem fal. Używają ziemskiego systemu metrycznego, ziemskich pojęć, choć Ziemię dopiero odkryja, aby przekonać się, że Ziemia nie taka stworzył cywilizację, która zabiła wszelkie — poza roślinnym — życie na planecie.

Odkrycie tej planety przepowiedział Uumitom Uniwersalny Mózg Elektronowy, tak jak Verze Esperanza Cyganka Lolita przepowiedziała, że będzie ostatnim człowiekiem na Ziemi. Za dużo tu jednak przepowiedni i to nie najlepiej szczyt jakości. W końcu dla każdego jest oczywiste, że w nieskończoności Wszechświata Ziemia nie może być wyjątkiem. Nie trzeba na to być Uniwersalnym Mózgiem Elektronowym, ani Cyganką Lolitą, aby dojść do wniosku,

że balansowanie na krawędzi pokoju i wojny może doprowadzić do powszechnego kataklizmu.

Intencje były dobre. Metoda też. Tylko niepostrzeżenie pojawiły się sprzeczności. Umieci, chociaż posługujący się ludzkimi pojęciami nie potrafili pojąć ludzkiej cywilizacji. Czytelnik co chwila ma chęć podoo-wiedzieć im, co do czego służy i jak postąpić, aby odkryć to wszystko, co dla nich jest tajemnicze, a dla Czytelnika oczywiste. Uumitom wszystko wyjaśnia pamiętnik ostatniej na Ziemi Kobiety, skazanej na samotność i śmierć w atomowym bunkrze, gdzieś na dalekich wyspach Polinezji. Czytelnikowi nie wyjaśnia nic, bo i tak wszystkiego domyślił się wcześniej niż Umieci. Posiadają oni rzekomo cywilizację znacznie wyższą od ziemskiej, ale nie są wiele mądrzejsi od Czytelnika. I słusznie. Czytelnicy bardzo nie lubią, kiedy bohaterzy książki są od nich mądrzejsi.

„Zielona planeta” miała być krzykiem, ostrzeżeniem. Bywa, że nieśmiały szepot może w skutkach okazać się przeraża-

KSIĄŻKA

jącym wołaniem. Ale bywa przecież i tak, że krzyczą najczęściej ci, którzy nie mają argumentów, choć mają rację. Paradoks polega na tym, że Andrzej Ostoja ma rację, ale nie przewidział, że uwikła się w sprzeczności kreowanego przez siebie świata i straci wszelkie argumenty.

Książka kończy się słowami: „Nic nad to”.

Istotnie. Nihil supra — nic nad to, co zostało napisane.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Andrzej Ostoja — „Zielona planeta”, Wydawnictwo Łódzkie — 1973, str. 151, cena: 12.—zł.

ANNA KULIGOWSKA

ELEKTRA PO LATACH

Kazimierz Dejmek decydując się na wystawienie po raz drugi w Polsce „Elektry” J. Giraudoux ryzykował więcej niż przy każdej innej premierze. Poprzednia realizacja tej sztuki w reżyserii Edmunda Wiercińskiego, scenografii Teresy Roszkowskiej i kierownictwie literackim Bohdana Korzeniewskiego (16.II. 1946) przeszła do legendy i historii powojennego teatru polskiego.

Chociaż pierwszym obowiązkiem recenzenta jest zdanie sprawy z tego, co widział i słyszał w teatrze, to jednak w przypadku przedstawienia Dejmka najbardziej kuszące jest wykazanie podobieństw i różnic w stosunku do praprototypu. Otóż — tak na pierwszy rzut oka — można doszukać się wielu cech wspólnych, przynajmniej w sferze wyglądu. Podobna jest chociażby monumentalna architektura sceniczna. I w jednym, i w drugim spektaklu ustawiono ukośnie kolumny, zaś w głębi sceny znalazła się masywna fasada pałacu wraz z wiodącymi doń schodami. Powrócono nawet orlywowa formie tronu. Wyraźniejsze odstępstwa dotknęły kostiumów, choć suknia warszawskiej Agaty jest równie powiewna i plisowana jak łódzkiej sprzed lat. Najogólnie rzecz biorąc trzeba jednak stwierdzić,

że Janowi Kosińskiemu, scenografowi Teatru Dramatycznego, nie udało się uzyskać tej jednolitości i czystości estetycznej, jaka była kiedyś udziałem Teresy Roszkowskiej. Zarzut ten brzmi trochę staroświecko, lecz przy porównaniu obu dzieł scenicznych rodzi się w sposób oczywisty.

Gdyby natomiast poszukać rozbieżności w sferze decyzji reżyserskich, to jest ich także niewiele. W dodatku dotyczą one najczęściej spraw drugorzędnych jakby Dejmek za wszelką cenę chciał zaznaczyć swoją obecność, np. wykreślając postaci kochanków Agaty lub nie pozwalając Eumenidom przeobrazić się w postaci (na scenie) Pnytyckiej TWP, zgodnie z informacjami Giraudoux. W tym miejscu należy zaznaczyć, że w tym spektaklu Agaty i Plisowna jak łódzkiej sprzed lat. Najogólnie rzecz biorąc trzeba jednak stwierdzić,



ważniejszych zmian wprowadzonych przez Dejmka należy koniecznie wymienić jego rezygnację z pokazania w końcowych scenach spektaklu tłumy Żobaków i kalek oraz przewodniczącej im Kodyli Narses. Tak więc upadek postaci Argos i bunt zrywający dotąd w najskrajniejszej nędzy część jego mieszkańców wyrażony jest w Teatrze Dramatycznym jedynie przez czerwoną lunę zapalającą się ponad kolumnami i pałacem. W tej sytuacji Elektra (zaimięmi Kobiet Narses) zadaje pytanie, będące próbą refleksji nad tym co się wydarzyło:

„Jak się to nazywa, kiedy dzień wstaje jak dzisiaj i wszystko stracone, wszystko zrujnowane, a mimo to oddech się swobodnie, i kiedy wszystko się straciło i miasto się pali, i niewinni mordują się nawzajem, ale zbrodniarze konają w żałówkę wstającego dnia?” Zadaje je Żobakowi, który wypowiada słynną kwestię: „To się nazywa Świtanie” — obejmując Elektry i patrząc równocześnie na publiczność.

Najważniejszą w moim przekonaniu innowacją dejmowską było przesunięcie monologu Orodnika z antraktu (po I akcie) do finalnej części aktu drugiego. Dzięki temu zabiegowi wypowiadając Orodnika stała się czymś więcej niż tylko jego lamentem nad utratą Elektry i próbą znalezienia wartości, które mogłyby wypełnić pustkę po niej. Przede wszystkim — monolog wniósł do sporu między Elektra i Egistosem, w chwili jego największego nasilenia się, nową propozycję pojmowania świata. Gdy Orodnik głosi że „radość i miłość (sa) lepsze od smutku i nienawiści”, słowa te pełnią także funkcję komentarza do tocących się na scenie wydarzeń. Zbigniew Zapasiewicz, grający rolę Orodnika, wypowiada ten monolog na proscenium, wprost do widzów. Ponieważ na sali zapalono światła (scena

w tym czasie tonie w mroku), aktor obejmuje oczyma wszystkich, od partera do balkonów, jakby nie chciał ominąć nikogo. Poza tym jest prawie nieruchomy i jedynie poprzez nieznaczne modulacje i zawieszenie głosu uakcentuje to, co najważniejsze.

W ten sposób jakby zatrzymano czas scenicznych wydarzeń dla rozważenia jeszcze innego, nie sformułowanego dotąd stosunku do świata i ludzi. Jest to dosyć ważne, bo gdy obecnie tekst „Elektry” utracił w poważnym stopniu swoją aluzyjną ostrość (a przecież takimi nutami obzmiewał w roku 1946), należało dokonać — aby uniknąć pewnej retoryczności konfliktu dramatycznego — jego reinterpretacji. Przesunięcie monologu Orodnika świetnie się tej sprawie przysłużyło.

Najkrótszego, choćby omówienia wymaga postać Żobaka. W Teatrze Dramatycznym kreuje ją **Gustaw Holoubek**, który w tej roli z wielokrotną stosownością zwykłe środki wyrazu. Ponieważ jest bardzo dynamiczny, wydaje się, że całe Argos przy nim zneruchomiał. W moim odczuciu stanowiącym aktorskiej ekspresji wyszłoby Holoubkowi na dobre. Nieodstrzeżenie wybulbował oczy, wyściaga leżyk, powłóczył nogą, a nade wszystko — gra pilanego. Co prawda ma to pewien wlosr, którego nie sposób przecześć. Żobak Holoubka jest kimś, kto szamocze się ciągle w poszukiwaniu prawdy. Jest to jednak tak naturalne, że niewielką nawet dozą umiaru — powtarzamy to po raz wtóry — wyszlachetniałyby te kreacje. **Gustaw Holoubek** — jak twierdzi ci, którzy widzieli pamiętne przedstawienie na Scenie Poetyckiej — jest trochę podobny do Jacka Woszczerowicza.

W Teatrze Dramatycznym inaczej również potraktowano Egistosa. W Łodzi był to regent-minister, zepsuty podwładnym, a przez to bardzo miękki w gestach, pałający ze swobodą papierosa itp. (**Jan Kreczmar**), zaś na scenie warszawskiej ukazał się regent-żołnierz, niepewny swego losu, dość osły w gestach, często podnoszący głos (**Andrzej Szczępczyński**). Natomiast żadna z wykonań historycznych, **Jadwiga Jankowska-Cieślak**, aktualna odwróciła się postaci, stworzyła ponadto Elektry — mówiąc metaforycznie — pokazującą język światła, działającą wszystkim i wszystkim na przekór. Jej bunt, niezależnie od przyczyn podanych przez Giraudoux, jest głównie buntem nieustępliwym i zadziornym młodzieńcem. Kiedy po raz pierwszy **J. Jankowska-Cieślak** pojawiła się na scenie, na jej twarzy widniał uśmiech. Lecz był to uśmiech — zaczepka, wyzwanie do walki. Zachwyty nad kreacją tej młodej aktorki, nad jej predyspozycjami do wielkich ról w tragedii wydają się w pełni uzasadnione, lecz, jak sadzę, nie zawadziłyby jej pewna powściągliwość, a przede wszystkim wyciszenie wybuchów historii.

TEATR

POLEMIKI

„Biczyskiem po ślipiach”... ale kto kogo?

Przyzwyczajenie ślepego o kolorach, a głuchemu o dźwiękach — zabiera głos nie pozwala. Autor — podpisujący się **WIDOK** („Odgłosy” nr 2/83) z 10 stycznia 1974 roku, strona 10, „Biczyskiem po ślipiach...” — wypalił do mnie z ogromnej kolubryny. Bez sprawdzenia faktów wywiłki je na publiczne forum.

A fakty przeczą teom redaktora W. Nie byłem recenzentem własnej twórczości, bo nie oceniałem żadnych ósienek prezentowanych w listopadzie Studia Piosenki. Omawiając w telewizyjnym Magazynie Kulturalnym ów koncert zachowałem postawę biernego obserwatora wydarzeń. Nieprawdą jest, że „do listopadowej giełdy zgłoszono dwie piosenki p. Madeja — komentatora sportowego łódzkiej TV. Jedną z tych piosenek nie została dopuszczona do koncertu — druga nie znalazła uznania w oczach jury.”

W giełdzie — owszem — **SPIEWANO DWIE** moje piosenki ale: pierwsza, o prezentacji której dowiedziałem się zresztą w chwili przyjazdu na koncert i zgłosiłem się na jej **JEDNORAZOWE** wykonanie tylko na próbę organizatorów — nie mogła być oceniana ani rozpowiastwana ze względów formalnych; druga, ta, która — jak pisze **WIDOK** — nie znalazła uznania w oczach jury, również nie mogła być oceniana, bowiem już wcześniej uzyskała nagrodę w zamkniętym ogólnopolskim konkursie „Przebieg na 25-lecie PRL” (trzecia spośród ponad 200 utworów). Jako juror **WIDOK** winien wiedzieć jak to było naprawdę. Chyba, że...

Nie ma pokrycia w rzeczywistości stwierdzenie, że po koncercie — już w-brzozy (czyż?) — zgłosiłem materiał filmowy do Magazynu Kulturalnego — był tam zaplanowany znacznie wcześniej — a pikantnym szczegółem jest chyba to, że ekipa telewizyjna — przybyła do Klubu Dziennikarza pod moją właśnie wodzą na osobista prośbę organizatora Giełdy — **L. Orlowicza**. Wymurzenia na temat kwestionowania ocen jury, lecz stronnictwo sa całkiem chyłone, bowiem w Magazynie Kulturalnym nie było na ten temat najmniejszych wzmiarki. (Byłem zresztą pełen podziwu dla jury, że w ogóle potrafiło wyrazić się z trudnego zadania). Wniosek — **WIDOK** nie oglądał emitowanego w telewizji materiału filmowego dotyczącego giełdy.

A czy uczciwość dziennikarska przestała być już enotą? Czy uczciwość dziennikarska nie każe najpierw fakty sprawdzić? Przyzwyczajenie — ślepego o kolorach a głuchemu o dźwiękach...

WIDOK do wyrażenia swych **PRYWATNYCH** i prywaty dotyczących sądów bez pokrycia wykorzystał (szkoda!) łamy „Odgłosów”. Redaktorowi **W. Pióro** nie zadziła, ani reka się nie zwrzesa. Z ambony wywrzesał, wykrzesał, palem wskazał, a wysztydził, a zawstydził, a na koniec po głowie łaskawie pogłaskał. Bóg zapłać! redaktorze W.

Bóg zapłać! choćby i za owe niegrzeczności, którymi jak przedszkolak popisał się redaktor W., a które nie warte są aby się nad nimi zatrzymywać. Zabawny jest jednak orzekłonalny ton, z jakim odnosi się **WIDOK** do dziennikarstwa sportowego. Sprawozdawca sportowy to według niego coś szerszego, niż „główny dziennikarski”, człowiek, który tylko sportem może się interesować i zajmować.

Oj poniosło Pana, redaktorze W., poniosło. Zół się ułata, z wiatrówka coś nie tego. Wałilo się biczyskiem po ślipiach, wałilo, a własne śliczne oczka zamkwało i na kogo wypadło na tego hec. Tyłko po eo było mnie owo machanie biczem przylepiwać?

MAREK MADEJ
(komentator sportowy)

P. S. W artykule „Biczyskiem po ślipiach...” moje nazwisko wymienione jest trzynaste raz. Horoskop na bieżący rok przewiduje, że szczęśliwa, dla mnie leszba będzie „trzynastka”. Dziękuję.

M. M.

Z nieklamana przyjemnością przeczytałem powyższy tekst. Świadczy on o tym, że autorowi obec jest wszelkie kretactwo. Oświadcza na przykład, że na Giełdzie Piosenek premierowych zgłosił utwor już gdzieś nagrodzony.

W ramach wolności przekonał autor jest przekonany, że nie osładam telewizji i że nie lubię dziennikarzy sportowych. Otóż telewizje osładam a dziennikarzy sportowych lubię. Cóż robić — taki już jestem. Co do Giełdy to mam po prostu dwie różne interpretacje tych samych faktów, mam również dwa różne style dziennikarskiej wypowiedzi. Ze mój styl przypomina — jak twierdzi autor — styl przedszkolaka, nie nie poradzę. Trzeba mi się uczyć na tekstach takich, jak powyższy, wtedy może sięgnąć pulapu nastolatka.

WIDOK

P. S. W powyższym tekście autor wymienił mój kryptonim tylko dziesięć razy. W ten sposób jestem do tyłu o trzy punkty.

W.

KRYTYK



Fot. M. Holzman

PROCES O ANDERSONVILLE

Utwór sceniczny, wykorzystujący fakty historyczne, uzyskuje wtedy podczasowa wartość dramatu, kiedy wydarzenia w nim ukazane są materiałem (często drastycznym) do rozważań o ogólnej sytuacji i losie człowieka. Podczasowość — to konieczny warunek dobrej dramaturgii. Jeśli jej nie ma, wówczas utwór, szczególnie z gatunku „dramatu faktu” — zabłysnąć może tylko szybko spalającym się płomieniem i zgasnąć.

Dramat faktu, składający się najczęściej w stronę teatru politycznego, nie może li tylko opierać się na historycznym materiale, ale musi przekonać widza o jego sprawczej roli w historii. Nie usprawiedliwiać abstrakcyjną machiną losu, wojny czy polityki, ale oskarżać tych, zdawałoby się młuczeliw, tłumaczących się bezsilnością, tych co mówią — a cóż za znaczenie.

Nie ceniłem nigdy zbytnio dramatu, ale sztuka **Saula Levitta** wydaje się być sztuką interesującą. Jej materiałem fabularnym są protokóły dotyczące procesu Henry Wirtza, komendanta obozu jenieckiego w Andersonville, oskarżonego w 1865 roku o spowodowanie śmierci kilkuset tysięcy żołnierzy Unii wziętych do niewoli podczas wojny domowej w Stanach Zjednoczonych.

Wirtz wykonywał rozkazy, nie był w stanie przeciwdziałać tragedii zaistniałej na terenie obozu — tak przedstawia się generalna linia obrony. Obronca — **Otis H. Baker** — miewnie udowodnił, że nie można posądzić Wirtza o udział w konkretnych morderstwach. Nie ma na to niezbitych dowodów. Mógł być nieposłuszny wobec rozkazów, ale to zarzucać można tylko będąc zwycięzcą.

Prokurator wojskowy **Chipman** jest również zależny od swych przełożonych. Jest to prawda z punktu widzenia kodeksu wojskowego niepodważalna. Wie dobrze, że wyrok śmierci na Wirtza jest przesadzony. W chwili rozpoczęcia przewodu sądowego jest pełen nienawiści do sądownego. Niewiele jednak konkretnych faktów może udowodnić oskarżonemu, chyba, że wkróczy na pole spraw moralnych. By tak się stało, musi opuścić front zwycięzów — wejść z nimi w konflikt, udowodnić moralny obowiązek nieposłuszeństwa wobec rozkazu, jeśli ten niezgodny jest z prawem wyższym — moralnym. **Chipman** nie chce uczestniczyć w tym akcie jako bezwzględny wykonawca rozkazu. Celnie określił istotę jego sądowej działalności **Baker** mówiąc: „Bardzo to był szlachetny wysiłek, chociaż niewiele miał wspólnego ze światem, na którym żyjemy. Ludzie będą dalej tacy, jacy są, większość z nich — ulegli wobec leku, a przez to ulegli wobec siły i władzy. Jak zmieniło to niewolnictwo? Kiedy ono leży w naturze człowieka?”

Polska prapremiera „Procesu o Andersonville” wyreżyserował w Teatrze Nowym w Łodzi — **Jerzy Zegalski**. Przedstawienie — jak to się mówi — rozkręca się w miarę zbliżenia się do końca. Pierwsza część nie jest zbytnio ciekawa, lepsze są dwie pozostałe. Może to było konieczne do zbudowania narastającego napięcia dramatycznego, ale przydługa odwoławania świadków często, niestety, nuży. Statyczność ową miały chyba burzyć pełne patosu tyrady. Zdarza się to na salach sądowych, gdzie obrońcy i oskarżyciele, zgodnie z zasadami retoryki, przemawiają z emfazą, rozkoszując się brzmieniem włas-

nego głosu. Posiadanie pięknego głosu w teatrze — to duża zaleta, może stać się jednak karykaturą w chwili, gdy stara się ktoś nim epatować. Tak jak zresztą każda przesada w teatrze rodzi poczucie fałszu. W wypadku „Procesu” jest ona tym bardziej niepotrzebna, że kłóci się z kreacyjnym aktem początku przedstawienia — kiedy do aktorky na scenie ubierają się w wojskowe kurtki, a światła na widowni gasną długo po pierwszych słowach spektaklu. Znany ten chwyt inscenizacyjny sygnalizuje zawsze ciekawy proces stapiania się aktora z postacią kreowaną.

W łódzki „Procesie o Andersonville” poszedł w tym kierunku **Andrzej May** jako oskarżyciel — **Chipman**. Początkowo sygnalizuje owa „zwykłość” — że przysiliłmy tu, by odegrać coś opowieści historycznej pewnego procesu. Kiedy jednak przebrniemy przez tę nienajlepszą, pierwszą część i zdajemy się rosnąć dramatyczne napięcia — ożywa **Chipman**, już nie tylko jako uczestnik procesu — sądowo-wojskowa marionetka, ale człowiek.

Może jeszcze **Wojciech Pilarski**, jako przewodniczący sądu, starał się nadać niektórym sytuacjom wymiar tragiczny. Był zrównoważony, skupiony i choć przez większość sztuki generalnie Lew Wallace milczy, ale jakże ważne jest to milczenie. Wydaje mi się jednak, że z większą stanowczością należało rozegrać rozdział się w trakcie procesu konflikt między przewodniczącym sądu a podległym mu pułkownikiem.

Józef Złóbr, jako kapitan Wirtz, niestety, zbyt często popadał w przesadę. Może w założeniach reżysera leżało, by postać ta zafalszowana była jego gra,

ale zbyt to upraszcza wymowę sztuki, a w rezultacie mamy do czynienia z nią nie znaczącym, natrętnym patosem.

Jan Zdrojewski, jako obrońca **Baker**, nie ożywia tej postaci cechami interesującymi i indywidualnymi. Szanse są tu chyba większe, **Baker** jest jedynym cywilem w trybunale wojskowym zwycięzów. Można było znaleźć więcej materiału do gry ironicznej, wręcz satysfakcyjnej. On przecież nie tylko broni Wirtza, ale również skarży prawo wojskowe. W jednym wypadku jest przeciwnikiem **Chipmana**, w drugim jego sprzymierzeńcem.

Scenografia w opracowaniu **Andrzeja Sadowskiego** jest dość funkcjonalna, chociaż przeciwnicy ukazywania wnętrza kulis będą krytycznie ustosunkowani do takiego rozwiązania. Wydaje mi się jednak, że słuszny jest ten „balagan”, a gra światła i reflektorów zainstalowanych na scenie, ma swoją wymowę. Dramatyczna rozmowa **Chipmana** z oskarżonym odbywa się w osaczającym kregu światła, poza którym pozostają: sąd i obrońca. Może jest to już dawno odbyta rozmowa Wirtza z samym sobą, może bezparadonowe przesłuchanie...

W sumie łódzka inscenizacja dramatu **Saula Levitta** „Proces o Andersonville” stara się przełamać szarym repertuarową teatrów miast, ale ani problem sztuki, ani jej sceniczny kształt do odkrywczych nie należą.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

POCZTA LITERACKA

Piotr U. Łódź. Nie sposób odmówić Panu sprawności i kultury literackiej. Zastanawia mnie tylko wiersz „Jutrznia”. Sprawia wrażenie przepisane z poetów Młodej Polski. Był nawet taki konkretny poeta, **Cezary Jellenta** (1851—1935), który mógłby się do „Jutrznia” przyznać.

Oto początek Pańskiego (?) wiersza:

„Słucham zstępujących jodeł z gór zielonych
I stuku wielkiego jak niebo topora

jest to topór świtu nad lasy
wzniesiony
pośród strzepów obłoków znad żywej kory
o ostrze które kipi słońcem zatopionym.”

A oto wiersz **Cezarego Jellenty**:

„Las mię rozcił. Kolysał. Jam
plakom również
W podszytych jędem jodłach
przeziłatam swobodnie
Upojony śpiewami w sen zapadł
wczasy”

A budzę się i zrywam, gdy las
świecił chłodnie
I górą jodeł płynię szum dzwiny,
I bezkresny...”

Inne Pańskie wiersze też mi brzmiały dziwnie znajomo. Jeśli te podobieństwa wynikają z t. zw. zasłuchania — to można jeszcze wybaczyć, jeśli natomiast chodziło o zwykłe nabranie Krytyka — to się Panu nie udało. Drogi **Piotrze U.**, napisz do mnie: jak to jest naprawdę, bom, ciekaw.

Zygmunt P. Częstochowa. Niektóre fraszki ubawiły mnie setnie. Choćby ta „Na pięknieśtrojnieś”:

„Kogo nabierze”
gdy się rozbieżne”
albo „Na niesmiałego kochanka”:

„Chociaż, wielki niedolega
Sięga tam gdzie wzrok nie sięga”.
Pozostałe, niestety, przegadane i mało dowcipne.



SASDI SANDOR

Z ŻYCIA WZIĘTE

Z panią Miron spotkałem się w sklepie spożywczym. Dopytuje się o moje zdrowie, narzeka, że rzadko wychodzi z domu, bo bardzo odczuwa ciężar swoich lat. Rozmawiając wkłada do koszyka półtora kilograma chleba, cztery bułeczki i pół kilograma ryżu. Trzyma też baniekę na mleko.

Wzdycha – poprawia brązową chustkę na ławie. Zakłada jedyną rękawiczkę na lewą rękę.

– Tym też mnie Bóg skarał, że musiałam zgubić akurat z prawej ręki. Zapominam sobie o przedzierziesłom laty, albo jeszcze wcześniej, w latach szkolnych, pamiętam kolory i wzory ówczesnych sukienek świątecznych, ale teraz, kiedy pójść do spiżarni i slanać przed półkami, zastanawiam się: „po co przyszedłem”. Wymyślam wtedy sama siebie – „Kasiu, Kasiu, co dzień masz mniej rozumu”. Prawda, że i sił mniej. Moja matka w tym wieku do prania wstawiała o świcie, a kiedy piekła chleb, na fawie jeszcze blyszczała rosa, a ona już wyjmowała pachnące bochenki z pieca...

Wspomnienie rozjaśniło jej twarz i nagle gotów jestem uwierzyć, że nie ukończyła jeszcze sześćdziesięciu lat.

Na rogu ulicy Akacji zatrzymuje się, rozgląda:

– Zmartwienia i troski dokładają zmarszczek i garbią plecy.

Nie wymieniła imion ani syna, ani synowej, ale i tak uprzytomniła sobie, że zdradziła więcej, niż było trzeba.

Trudno, stało się, więc mówi dalej: – Nie mam butów, te, które noszę mają dziurawe podeszwy, przepuszczają wodę. Mój syn Edward już jesienią wspominał, żebym zaszła do Bożego Narodzenia, obiecał kupić mi nowe. Ale ten wielki prezent zmniejszył się do szalka, a ten też tak rzucił, jak psu ochlap.

– A synowa, Pani Miron?

– Prawda, że niekiedy naciera mi ramię kamforowym olejkiem, przy stole zapytuje: „Mogę jeszcze dolożyć”, ale o domu starców jednak ona zaczęła wspominać. Odwiedziła jakąś daleką krewną w Crodollo, a wracając nie mogła się nadziwić, jakie staruszki, takie jak ja, mają pańskie życie w dawnym pałacu królewskim. Uczyła, radia i telewizor.

– Może tam byłoby lepiej, pani Miron.

– Nie byłabym zmuszona pójść do domu starców. Nie potrzebowałabym nawet pomocy syna, gdyby zostawili mnie w starym mieszkaniu. Renta po mężu, chociaż marna, ale starczyłaby mi na chleb powszedni. Zarabiałam tym, że komuś robiłam sweter, innemu sztylską, firankę i jeśli mniej zapłacił, to dolożył miśca, ciasta. Mogłabym żyć spokojnie do dzisiejszego dnia, ale

mój błogosławiony, dobry syn często pisał listy obiecując gruszki na wierzbie, tak długo, dopóki nie sprzedałam wszystkich moich lepszych rzeczy, mebli, do których przywykłam. A po co? Po to, żeby za pół roku wymawiał, co zjem. Jeżeli się śmiałam, warknął na mnie: „nie myśl o głupstwach”. Jeżeli siedzę w kacie bez słów, to słyszę: „zawsze musisz siedzieć, jak stara kwoka? Sprzykrzyło mi się patrzeć na tę ponurą rudę...” Jeżeli przyjdą goście, mogę marznąć w kuchni – bo – i Edward i synowa – ciągle powtarzają, że gadam głupstwa, takie, które nie pasują do dzisiejszych czasów. „Pozostawiają stara wariatka” – to też powiedział mój syn. Docekalam też tego, że bil mna o ścianę, a kiedy błagałam Boga: przetrwaj, Boże, moje gorzkie życie – otworzył mi okno: „Jeżeli tak ci się sprzykrzyło życie, nie martw się, nikt cię nie zatrzyma... A jak dostanę premie, postawię ci krzyż z marmuru...”

Wzdycha, smutnym wzrokiem patrzy przed siebie, dźwiga koszyk i baniekę i idzie omijając kaluże. Żeby woda nie dostała się do dziurawych butów.

– Wolalabym, abyśmy nie czekali do pierwszego, mogłabym przystąpić już od jutra...

– Proszę się nie obawiać tego, że jestem stara, że nie potadam pracy... wytrzymam, nawet na pewno... Żeby straciłam, kiedy miałam czterdzieści lat, a nie miałam jeszcze trzydziestu, kiedy zaczęłam siwieć, ale to nie powód, żeby nie mieć sił w rękach... Nieprawdaż?

A gotowanie? To nie dla mnie. Potrafie robić gołąbki, gulasz nawet z czterech gatunków mięsa, tak, że nawet biskup palce liże. A ciasto na sadie, przekładanie mojego wypieku jeszcze dziś wspomina się w mojej wsi...

Przerzywam:

– W naszym gospodarstwie domowym jest zwyczaj jednego dnia. A ze względu na zdrowienie wolimy wyżywić bez tłuszczu.

– Czy ja nie potrafię oszczędzać? Nieć mi pan zaufa... albo mam mówić – towarzyszy?

W jej szarych oczach widać więcej niż strach: przerażenie. Nagłym ruchem podwija rękaw bluzki, pokazuje rękę; takiego rodzaju ruchem kupiec zachwala swój podejrzany towar:

– Jeżeli nie jestem rubra, tym bardziej żyłasta, umięśniona, a dla takiego suchego, jak ja, przynieść z piwnicy koszyk drzewa to nie... A więc mam przystąpić od jutra?... Albo zaczekamy do pierwszego?

Wstydzę się, bo w tym momencie jej spojrzenie jest podobne do spojrzenia bezpańskiego psa wyciekającego pod bramą szlitową. Odwracam się i dopiero wtedy pytam:

– Skoro obie córki żyją na wsi, dla-

czego musi pan pracować, może niedzielić lat, u obcych?

– Dlaczego? Bo jak mówią przysłowia: jednej matce łatwiej jest utrzymać dziesięcioro dzieci, niż dziesięciorgo dzieciom – jedną matkę.

– Takie są córki?

– Takie, że lepiej byłoby, gdybym o tym nie wiedziała. Kiedy latem wyszłam ze szpitala, młodsza wzięła mnie do siebie. Kiedy szła do pracy w pegerze, ja opiekowałam się krową, karmiłam świnię, gotowałam, prałam dla nich, wykopałam ziemniaki do ostatniego krzaczka, zebrałam kukurydź, zmieliłam konopie, uprzedłam nie, ukalałam takie plóno, że wnuczka nie pomyśliła się wyprawy. Małgosia jest dziewczyną wykształconą, pracuje w pegerze jako księgową, nazywa mnie „kochaną babcią”. Ale jej matka!

Wszystkim byłam dla niej, tylko nie mam. Jedzenie dawała mi jak z laski, na gołych deskach stołu, bo jej mąż – tym się usprawiedliwiała – nie może patrzeć, jak mnie się trzęsie ręka i zupa wylewa się z łyżki. Wymyśliła, że w nocy mówię przez sen i z tego powodu moje łóżko wystawiła do letniej kuchni. A tam nie ma okna, ani komina... Związałam tobolek i wstąpiłam do starszej córki. Do czasu mnie znosiła, a potem zaczęła: przez długą zimę niech utrzymuje mnie ta, dla której całe lato pracowałam. Znowu związałam tobolek. Pieniędzy na bilet kolejowy musiałam wyzbrać... Byłoby najlepiej, gdybym mogła przystąpić od zaraz, ale jeżeli nie koniecznie, mogę zaczekać do pierwszego, do tego czasu moja kuma zatrzyma mnie u siebie...

– Porozmawiam z żoną... zapiszę adres kumy i listownie zawiadomimy. Po krótkim westchnieniu:

– Rozumiem to niedomówienie... Znam reszcie, a zwłaszcza wiem: niebezpiecznie postarzę się. Lepiej byłoby, gdyby moja matka udusiła mnie w pierwszej kąpielii...

Spotkałem ich przed bufetem kina przy ulicy Kossutha. Kobiela powiedziała:

– Ludwiczku, nie pij tak zachłannie tego soku malinowego.

Mężczyzna ze zdenerwowaniem skinął na żonę:

– Bądź uprzejma nie zwracaj ciągle uwagi! Przzyrzeczaj się do tego, że nie jest już niemowlęciem, przecież siedląd skończy czterdzieć lat.

– Dziecko podoba się mowa, przytuła się do ojca:

– Na złość kup mi czekoladę z orzechami.

Mężczyzna płacił dziesięć forintów za czekoladę, a że dziecko wie, co to jest dobre wychowanie, częstuje rodziców. Robi to tylko pozornie, przecież przyzwyczaił się, że nigdy nie biorą od niego nawet kęsa. Tak je czekoladę, jak inni chleb i po krótkim czasie znikną mu w ustach. Nie dziwnego, że chce mu się pić. Ojciec pozwala na drugi sok malinowy, a matka – ponieważ duża ilość płynów jest niezdrowa – raczej głosię za pomarańczę. Za wybrana pomarańczę, głowa rodziny płaci osiem forintów.

Ludwiczek z następującymi słowami podaje dwie czekolki matce: „Spróbuj staruszkoo...” Potem w poczekalni ogląda zawieszony foty, ziewa, nudzi się, czeka, kiedy skończy się poprzedni seans. Rodzice palą papierosy, dziecko wymusza na ojcu jedno „Pocłagnięcie” czyli zdobywa całą „Jaskółkę”, puszcza kółka z dymu. Doświadczony pałac.

– Kiedy zaczął?

– Wszyscy troje zaskoczeni patrzą na mnie a mężczyzna, nie wiem dlaczego, zadaje mi to dzwonne pytanie.

– Badanie opinii publicznej?

– Proszę ciekawość.

– W ubiegłym roku spędził z matką lato nad Balatonem, wtedy przyzwyczaił się do palenia.

– Tak? A srebrną papierosnicę też ja mu kupiłam?

– Powiedziałem: dostanie dopiero po zdaniu matury.

Zmienia głos, usprawiedliwia się:

– Dziecko jest dla nas wszystkim. Późno się urodził, wiele chorował... Będę szczerzy: moje trudne dzieciństwo chciałbym w ten sposób wynagrodzić jemu. Ja dostawałem wszystko po bracie, niech mój syn nosi modny sweter, zagraniczne cowbojskie spodnie... niech myje u fryzjera długie włosy, niech gra na gitarze, jak jego koleży... jestem lekarzem w Gauz – MAVAG, miesięcznie zarabiam powyżej trzech tysięcy, żona też przyjęła – przede wszystkim ze względu na dziecko – pracę za tysiąc trzysta forintów, ale skłamałbym, gdybym powiedział: mam wszystkiego pod dostatkiem. Wszystko drogie, dużo pieniędzy pochłania gospodarstwo domowe, i nieraz naprawdę musimy rezygnować z tego czy owego, żeby dziecko miało przynajmniej tyle, co inne...

Wietrzą sałę. Ludwiczek ponagla ojca:

– Dossy gadania... zwirować można, ile mówisz... przez ciebie nie mam zamiaru spóźnić się na kronikę...

Trzy różne historie. Podpatrzone w życiu. Nietrudno znaleźć związek między nimi.

OPOWIADANIA WĘGIERSKIE

FRIGYES KARINTHY

ODPOWIEDZIALNY CZŁOWIEK

Po raz pierwszy spotkałem go podczas otwarcia teatru: rozgarniony pedził zza kulis i w pośpiechu podał mi rękę.

– Oh!... bardzo przepraszam... ale mam tylko minutkę czasu... bardzo mi przykro...

– Ależ proszę – uspokoiłem go – z panem przecież nie mam nic do załatwienia. Prawdopodobnie wziął mnie pan za kogoś innego.

– Aha, nie mnie pan szuka? Pardon. Wie pan, człowiek ma tysiąc spraw na głowie... Zresztą jestem ten i ten. Proszę mi wierzyć, nie wytrzymam, odpowiedzialność, to nie dla mnie. Ale niestety, do nikogo nie można mieć zaufania.

Obok nas przebiegł jakiś rekwizytor, krzyknął za nim:

– Pan mnie szuka? – Tamten odwrócił się.

– Słucham? – zapytał głupio. – Niosę rękawice panu Ligeti.

– A, pan Ligeti? On jest w biurze. Niech pan zczeka. Ja go przysię. Ja z nim porozmawiam. – I znowu do mnie:

– Widzi pan, nie można... Nie ma czasu, nie można... Może przy innej okazji, jeśli pan pozwoli... Au revoir, proszę, niech pan nie bierze mi tego za złe.

I jak huragan popędził dalej. Później spytałem kogoś, kim był ten człowiek. Nie wiele osób go znało i jak się okazało, był on zatrudniony w biurze przy stemplowaniu biletów.

Drugi raz spotkałem się w kawiarni. Siedziałem w większym towarzystwie. Podszedł do mnie, bardzo poważnie, można powiedzieć, podejrzliwie podziwił moich znajomych i szepnął:

– Proszę... czy ma pan minutkę czasu?... muszę natychmiast z panem porozmawiać w bardzo ważnej sprawie.

Wstałem i przesiadłem się z nim do sąsiedniego stolika.

– Przede wszystkim: dyskrekcja – zaczął bardzo poważnie. – O tym, o czym tu rozmawiamy, przez trzy dni nikomu ani słowa!

Rozjaśniał się i przychylił bliżej.

– Chodzi o to, więc chodzi o to... że tu, w Budapeszcie będzie uruchomione wielkie przedsiębiorstwo... bardzo wielkie przedsiębiorstwo... na razie nie mogę powiedzieć z powodu ogromnej odpowiedzialności... Ale muszę z góry wiedzieć, czy mogę liczyć na pańską aprobata, że tak powiem, na pańską moralną solidarność?

– No tak, ale o co chodzi?

– O tym na razie nie mogę powiedzieć! A więc, możemy liczyć?

– Ale drogi panie, o co...
– Możemy liczyć... tak, czy nie! – krzyknął z entuzjazmem. – To jest pytanie. I dyskrekcja! To najważniejsze! I odpowiedzialność! Panie, odpowiedzialność przede wszystkim! Proszę mi wierzyć! Nie mogę mieć zaufania do nikogo. Wszystkie muszą brać na siebie! A więc: z Bogiem i nikomu ani słowa.

Obiecałem, że nikomu nie powiem.

Za dwa miesiące widziałem go po raz ostatni. Stał nad bulwarem, na krzyżach chodnika i uważnie, z przymrużonymi oczyma obserwował ruch uliczny. Wokół niego zebrał się tłum ludzi, a on głośno coś wykrzykiwał.

– Co pan tu robi? – zapytałem.

– Proszę mi wybaczyć – odpowiedział szybko przez ramię z uprzejmością charakterystyczną dla ludzi bardzo zajętych – jak pan widzi, nie mam nawet sekundy czasu. To rezyserowanie mnie wykończy. Człowiek musi pamiętać o tysiącu spraw, żeby wszystko było w porządku. Tam, ten samochód... tak, dobrze, może jechać. Machał w powietrzu laską – niczym dyrygent.

– Te dwa samochody skręcają... w porządku... naprzeciw ma stać tramwaj. Ej, co to jest? Tam przechodzą, z przyciwka. Hej, żołnierze!... w porządku, możecie iść. Panie władzo... dobrze! Pan, według scenariusza powinien stać pod lampą. Dobrze... wreszcie jakoś idzie... Teraz jeszcze, w domu naprzeciwko, na czwartym piętrze, poproszę służącą w białym czepku, która wychyla się przez okno... W porządku, już jest. Dwoje przechodzi: jedna dama i czeladnik... Nad całością chmur... oświetlenie popołudniowe... Tak!

Dobrze!... na lewo, nad domami słońce, około dwóch metrów... niech zajdzie. Słońce może zejść. W porządku.

Odwrócił się do mnie ocierając czoło.

– Oh! Panie... tego nie można wytrzymać... ale tej odpowiedzialności... nikomu nie mogę powierzyć... inaczej wszystko weźmie w łeb.

Zbliżyło się dwóch sanitariuszy w białych fartuchach. – Pogotowie? – krzyknął. – Słusznie. Trzeba ich tu wstawić.

Dał krok w stronę jednego z nich i rozkazującym tonem powiedział.

– Tak. Pójdźcie teraz ze mną do domu wariatów. Idziemy.

I swobodnie poeznał się ze mną.

Przełożył:
LASZLO RAKITAI



COLLAGE: A. GRUN

KAROL OBIDNIAK

MIŁOŚĆ

Ona: Trzęsiesz się.
On: Zdaję ci się. Jestem spokojny.
Ona: Wyciągnij ręce przed siebie. Sprawdzimy.
On: Nie każesz mi chyba dmuchać w balonik. (Wyciąga ręce. Widać drżenie).
Ona: No i kto miał szusznosc? Nie czujesz tego, jak się trzęsiesz?
On: Nie.
Ona: A, to dobre. Ja jestem zawsze spokojna, kiedy się z tobą całuję.
On: Staraj się.
Ona: Teraz było lepiej?
On: Niezupełnie. Przysiad!
On: Co takiego?
Ona: Przysiad. (Przysiadła). Raz – dwa, raz – dwa, raz – dwa, raz – dwa. Dość! A teraz wyciągnij ręce. Trzęsa się!
On: Z zmezczenia. Ale najwięcej to z miłości do ciebie. Jak Boga kocham, lekarz mówił, że...
Ona: Ze co?

Ona: To może ty jesteś chory?
On: Z miłości. Po każdej randce z tobą mama robi mi okłady.
Ona: A, to dobre.
On: Bóg śmieje się. Ostatnio musiałem stać godzinę na głowie. Ostatnio krążyłem kwi wrocław do normy.
Ona: Największy ucisk odczuwałam w pletach?

On: I trochę wyżej.
Ona: Z tobą jest naprawdę niedobrze.
On: Byłem u lekarza. Radził się nie przejmować... Ale pastylki przepisał.
Ona: Używasz je?

On: Na dwie godziny przed spotkaniem z tobą i jedną zaraz potem.
Ona: Po czym?

On: No, potem, po rozejściu. Ale to niewiele pomaga.
Ona: Widzę. Pocałuj mnie. Ale otwórz oczy.

On: Nie mogę. Same mi się zamykają.
Ona: Staraj się.
On: Teraz było lepiej?
Ona: Niezupełnie. Przysiad!
On: Co takiego?

Ona: Przysiad. (Przysiadła). Raz – dwa, raz – dwa, raz – dwa, raz – dwa. Dość! A teraz wyciągnij ręce. Trzęsa się!

On: Z zmezczenia. Ale najwięcej to z miłości do ciebie. Jak Boga kocham, lekarz mówił, że...
Ona: Ze co?

On: Ze to zależy od ciebie. Ze tylko ty mozesz mnie wyleczyć.
Ona: W jaki sposób?

On: Pytał się czy ty i ja, no... czy my – spaliśmy z sobą.
Ona: A to świnia!

On: Nie mów tak. On dobrze radził.
Ona: Skąd wiesz?

On: Bo na myśl o tym lżej mi się zrobiło.
Ona: I ty naprawdę chciałbyś się ze mną przepaść?

On: O, tak. (Ona uderza go w twarz, sucho, beznamietnie). Za co?

Ona: Wyciągnij ręce. (Wyciąga ręce. Nie drża). Widzisz? Już się nie trzęsa.

On: Rzeczywiście.
Ona: Obeszło się bez pastylek i bez spania.

On: Ale ze spaniem byłoby przyjemniej.
Ona: Na razie poprzestaniemy na tym lekarstwie.
On: Ale nie używaj go za często, dobrze?

Ona: To już zależy od ciebie. Pocałuj mnie. (Całuje ją posłusznie). Wyciągnij ręce. (Drża). Uderza go w twarz. Ręce przestały drżeć. W porządku.

On: Mocno bliżej.
Ona: Lubię pieszczoty zdecydowane.
On: Dobrze ci tak mówić.
Ona: Najważniejszy jest skutek.
On: Ja bym przyczyn nie lekceważył.

Ona: Srodki naturalne są dla organizmu najzdrowsze.
On: Lekarz też tak mówił.

Ona: Sam więc widzisz.
On: Ale nie jestem przekonany.

Ona: A czego byś ty jeszcze chciał?

On: Innego lekarstwa.
Ona: Może trochę przedawkowałam. Ale nim wrócisz do domu, opuchlizna zjedzie.

On: Żeby tylko mama nie zauważyła.
Ona: Staraj się rozmawiać z nią po egipsku.

On: Jak?

Ona: Po egipsku. Profilem. O, taki (Nasładuje egipskie płaskorzeźby). Nie zauważy.

On: Ale gotowa pomyśleć, że zwariowałam.

Ona: Pocałuj mnie. Wyrównamy opuchliznę dolożę ci dwa razy z drugiej strony L., będziesz mógł z mamą rozmawiać na face.

On: A jak spuchnę nierówno?

Ona: To będziemy dotąd próbować, aż spuchniiesz równo. Pocałuj mnie. Nie chcesz?

On: Chcę. Ale boję się tego, co będzie potem.

Ona: Właż już mnie nie kochasz?

On: Kocham. Zobacz. (Wyciąga ręce które drżą bardzo wyraźnie. Ona chce go uderzyć). Zaczekał, nie uspokajaj zanim cię nie pocałuję.

Ona: To szybko, pośpiesz się. O gdybyś wiedział, jak mnie ręce swędzą rozkosznie. (Całuje ją, ona go uderza).

On: Zobacz, równo puchnie!

Ona: Trochę będę musiała dolożyć, Całuj.

On: Nie powinnaś się przyzwyczajać. Jak ci takie lekarstwo wejdzie w krew...

Ona: Całuj!

On: Nie. Na dziś dość. Wstrzemięźliwość pamiętaj, jest ontotą wielce dzisiaj niedoceniana.

Ona: Całuj...

On: Wyciągnij ręce. (Ona wyciąga ręce). Widzisz?

Ona: Co?

On: Ty też się trzęsiesz.

Ona: Niemożliwe.

On: Spójrz na swoje ręce. Przysiad! Raz – dwa, raz – dwa, raz – dwa, raz – dwa. Dość!

Ona: Nie pomogło.

On: I co teraz będzie?

Ona: Całuj...

On: Zupelnie się rozklekoczesz.

Ona: Rataj mnie.

On: Ale jak?

Ona: Tak jak ja ciebie. Trudno.

On: Nie śmieć.

Ona: Szybce!, bo się roztrzęsę. (On całuje ją mocno; zaczyna ją widać nie okładać; kończy się pocałunkiem) Ale ty, Grzesiu, jesteś wspaniałym chłopcem.

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

NOTY

Podczas gdy kryzys energetyczny dławi Europę Zachodnią, pierwsze metry szesściennego gazu ziemnego zostały dostarczone z ZSRR do Finlandii. W styczniu br. prezydent Urho Kekkonen dokonał uroczystego otwarcia gazociągu, przez który, w bieżącym roku, Związek Radziecki dostarczy do Finlandii 500 milionów m sześciennych gazu ziemnego. Dostawy te wzrosną stopniowo do 5 miliardów m sześciennych gazu rocznie. Porozumienie w tej sprawie podpisano w 1972 roku. Obecnie Szwedzi studiują projekt ewentualnego przedłużenia gazociągu z Finlandii do Szwecji. Umowy na dostawę gazu ziemnego z ZSRR podpisały już Włochy, NRF i Francja.

„L'EXPRESS” — PARYŻ

Maleńkiej wyspki Jura, na Morzu Egejskim, nie ma na żadnej mapie turystycznej, a mimo to jest ona swoistym i przerażającym „zjawiskiem”. Niedługo pisał o niej Tacyt i Pliniusz. Dziś w Grecji nie wolno o niej mówić: znajduje się tam jeden z największych obozów koncentracyjnych, jakiego kiedykolwiek znała Hellada. Na wyspie, omiatanej wichrami i spopielanej od słońca, nie ma wody i roślinności. Żyją tu tylko jaszczurki i jadowite żmije. No i więźniowie, ale bardzo krótko. Tacyt wspomina, że nawet Tyberiusz przesłany, wyrafinowany okrutnik nie zżył na nią swoich wrogów. W 1943 roku hitlerowcy wzięli tam włoskich „przebiegów wojennych”, ale i oni musieli obóz zamknąć z powodu masowej śmiertelności więźniów. W 1947 roku, w czasie wojny domowej w Grecji, wyspę zwaną „wyspa śmierci”, znów przekształcono na oboz koncentracyjny, w którym więziono siedem tysięcy greckich komunistów. W 1950 roku, pod naciskiem opinii publicznej, władze greckie były zmuszone zezwolić na lustrację obozu przez komisję parlamentarną. Jej wyniki okazały się straszające: 95 procent więźniów znajdowało się w ostatnim stadium gruźlicy. Po przewrocie w 1967 roku „czarni pułkownicy” wzięli w skalnatej kuzamatach wyspy ponad sześć tysięcy demokratów. W końcu ub. roku nowa junta grecka zgłosiła swym rodakom „niespodziankę”: na wyspie znów „uruchomiono” oboz koncentracyjny. Jura — piekło za życia...

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” — PARYŻ

Wiadomo już dziś, że na usługach CIA pozostaje ponad 30 amerykańskich dziennikarzy, zatrudnionych za granicą w charakterze tajnych informatorów. Niektórzy z nich są na etatach Agencji. Do liczby dziennikarzy-spiegów należy grupa operacyjnych pracowników, rozrzuconych po wszystkich zakątkach kuli ziemskiej. Rozwijają oni swą działalność pod szyldem autorów piszących do gazet, periodyków i agencji informacyjnych, a także pod szyldem korespondentów specjalnych. Do innej grupy zagranicznych korespondentów pozostających na usługach CIA należą dziennikarze, piszący do niewielkich pism specjalistycznych o małym nakładzie. O ile wiadomo, większość agentów tej kategorii pracuje w charakterze informatorów CIA za zgodą swych pracodawców. Jednocześnie CIA wyraża zaniepokojenie, iż przenikanie jej agentów do prasy amerykańskiej — jeśli by zostało ujawnione — do reszty poderwie, i tak już mocna nadszarpnięta, reputacja CIA w oczach społeczeństwa amerykańskiego i skompromituje amerykańską prasę.

„WASHINGTON — STAR-NEWS” — WASHINGTON

Francja i Arabia Saudyjska podpisały kontrakt na dostawę do Francji 30 milionów ton ropy naftowej w przeciągu trzech lat. Należy przypomnieć, iż niezależnie od tego Francja importuje z Arabii Saudyjskiej 31 milionów ton ropy rocznie, co już stanowi 25 procent całego francuskiego importu ropy naftowej. Fakt, iż porozumienie francusko-saudyjskie zawierały bezpośrednio: Narodowa Kompania Arabii Saudyjskiej „Petromin” i francuska grupa naftowa „ELF-ERAP” i „Total-CFF”, a nie za pośrednictwem amerykańskiej kompanii „ARAMCO”, przydaje temu porozumieniu szczególne znaczenie.

Anglia przeżywa dziś najcięższy kryzys ekonomiczny od zakończenia II wojny światowej. Wzrost bezrobocia, zawrotna podwyżka cen, głównie na produkty żywnościowe, spadek poziomu produkcji przemysłowej. Rząd całą odpowiedzialność za katastrofalny stan gospodarki narodowej zrzuca na brytyjskich górników, którzy twardo walczą o zaspokojenie swoich słusznych żądań. A przecież socjalny i ekonomiczny kryzys, który przeżywa obecnie Wielka Brytania, uwarunkowało wiele przyczyn. One to, w okresie od zakończenia wojny do dnia dzisiejszego uczyniły Zjednoczone Królestwo najbardziej „chorym organizmem” Europy.

Nie otrząsnawszy się z ciężkiego brzemienia wojny, pogrążona po uszy w długach, Anglia XX wieku utraciła swoją dawną potęgę i przestała odgrywać wiodącą rolę na arenie międzynarodowej.

„Kierowca taksówki — opisuje swoje wrażenia specjalny wysłannik „Le Monde” — odwraca się do mnie i porozumiewawczo mrugnąwszy okiem mówi: rząd chce nas przekonać, że wszystkiemu są winni strajkujący...”

W Londynie ciemno, choć oko wykol. O szóstej wieczorem na lotnisku trzeba po omacku szukać wyjścia do autokarów, zdążających do centrum miasta. Jednakże na autostradzie łączącej Londyn z przedmieściami potok samochodów tak samo wartki jak zwykle. Niespodzianką wita Picadilly Circus: ani jednej świetlnej reklamy, tylko rzadkie plamy nikłego światła w bramach, gdzie hippisi handlują starzyzną.

W atmosferze na polu zaciemnionego miasta, wśród przechodniów rodzi się coś w rodzaju poczucia wspólnoty: w mrocznych zaułkach, które bardziej przypominają wiejskie uliczki, wciąż ktoś kogoś pyta, czy przypadkiem nie zabłądził.

W hallu hotelowym też ciemno, podobnie jak na peronie podmiejskiej stacji. W kawiarni przymusowa samoobsługa, gdyż większość personelu spóźniła się do pracy z powodu częściowego strajku pracowników transportu. W sklepach wywieszono ogłoszenia informujące o dniach i godzinach pracy, skróconej w związku z „kryzysem narodowym”. Firma „Liberty” informuje z dumą, że jej sklep jest oświetlony gazem. Wiele wytwórni sprzedawca krawatów zauważa: „Ta innowacja spotkała się z uznaniem klientów”. Pozwala kupującym podchodzić do drzwi, żeby przy dziennym świetle mogli odróżnić kolory wybranych krawatów.

Liczne gazety brytyjskie mnożą nastroje paniki. W organie City „The Financial Times” i w najbardziej poczytnej „Daily Mirror” tytuły głoszą „o początku końca”. Telewizja, która nie stara się pomniejszać rozmiarów kryzysu, organizuje dyskusje i wywiady ze specjalistami na temat inflacji i kryzysu.

Jak na tę panikę reaguje przeciętny Anglik? W tej chwili jest najbardziej zaniepokojony niepewnym wzrostem cen na artykuły żywnościowe i zwiększeniem opłat za mieszkania; w mniejszym stopniu

niepokoi go niedobór energii elektrycznej i paliwa. Ale w swojej masie mieszkańcy Wysp Brytyjskich z wyraźną wstrzeźliwością przyjmują falę sensacyjnych i niepomyślnych informacji. Trudno by powiedzieć, że laburzyści cieszą się teraz specjalnym prestiżem, jednakże panikarskie mowy Heatha mogą w przyszłości odegrać rolę bumeranga.

Odpowiadając odmownie na żądania górników o podwyższenie zarobków, premier dąży do określonego celu: nie chce, żeby po tym ustępstwie, dalsze, analogiczne żądania naruszyły jego plany walki z inflacją. Tylko że strajk górników rozpoczął się akurat w tym momencie, kiedy dały się już odczuć następstwa emargu na naftę. Mimo, iż Wielką Brytanię, podobnie jak i Francję, kraje arabskie uznają za państwo przyjazne, a jej przemysł pracuje bardziej na węglu i energii elektrycznej niż na naftcie, konserwatyści uznali za konieczne odwołać się do społecznego sumienia i narodowej solidarności mieszkańców Wysp Brytyjskich.

Idące w ślad za tym drakońskie posunięcia rządu Heatha, w odczuciu społeczeń-

krawędź katastrofy”. Powiedział on także, że nawet jeśli fabryki wytrzymają na poziomie 65 proc. mocy produkcyjnej, to i tak dochody większości spośród nich obniżą się i właściciele będą zmuszeni zwolnić z pracy część personelu. A przecież już teraz bezrobocie rośnie z niesłychaną szybkością.

Obecnie trudno ocenić ciężar kryzysu gniożącego Wielką Brytanię, jak również zakres i możliwe następstwa kryzysu energetycznego w skali Europy. Nie po raz pierwszy w Zjednoczonym Królestwie strajkują robotnicy, ulega zakłóceniom normalne życie, a przemysłowi zagraża obniżenie produkcji. Jednakże wielu liderów politycznych wyraża przekonanie, iż po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej ekonomiczne i socjalne wstrząsy w Anglii są tak zespolone z poważnym kryzysem międzynarodowym.

Inflacja, właściwa wszystkim krajom rozwiniętym, ze szczególną siłą ujawniła się w Wielkiej Brytanii w latach 1972—1973. Wzrost cen na podstawowe artykuły spożywcze zwiększył bojowość związków zawodowych. Częściowy strajk górników, cią-

W DRODZE NA PICADILLY CIRCUS

stwa, mają na celu dramatyzyzowanie konfliktów socjalnych, urabianie opinii publicznej, potępiającej strajkujących oraz zastraszenie opozycji. Jakże by tam nie były zamysły premiera, fakt pozostaje faktem: wydobyte węgla spadło o 30 proc., jego zapasy zmalały do niebezpiecznego minimum, liczebność bezrobotnych przewyższyła milion, a ponadto wiele milionów pracujących znajduje się w rozpaczliwym położeniu wskutek zmniejszenia produkcji przemysłowej.

W ostatnich dniach górnicy zajęli jeszcze twardszą pozycję, walka przybrała zabarwienie polityczne. Nowy minister zatrudnienia wyraził z początku nadzieję na szybkie uregulowanie konfliktu z górnika. Dlatego też istnieją teraz podejrzenia, że przedstawiciel rządu, prowadzący rozmowy ze strajkującymi, natrafił na veto większości konserwatywnego gabinetu. Laburzyści twierdzą, iż wprowadzając trydniową przerwę w pracy rząd próbuje wywrzeć nacisk na związki zawodowe. Przepuszczając oni również, że obniżając gwałtownie aktywność przemysłową, Heath próbuje „pokonać inflację” kosztem ludzi pracy. Jest bezspornym faktem, iż mimo pewnych zmian w ubiegłym roku, ekonomika brytyjska jest nadal chwiejna i bardziej niż jakikolwiek inny kraj narazona na ciosy w warunkach kryzysu energetycznego.

Większa część przemysłu brytyjskiego musi pracować trzy dni w tygodniu, żeby zmniejszyć zapotrzebowanie na energię elektryczną. Prezydent Konfederacji Przemysłowców Brytyjskich powiedział otwarcie, że ograniczenia te spychają kraj „na

gnący się od listopada ubiegłego roku, przybrał szczególny charakter w związku z kryzysem naftowym. Przez szereg lat utwierdzono górników w przekonaniu, że ich zawód nie ma przyszłości. Teraz zaczynają oni rozumieć, że ekonomika kraju potrzebuje ich pomocy. Mówi się już o otwarciu kopalni, zamkniętych ze zbytnim pośpiechem.

Z kolei Konfederacja Przemysłowców Brytyjskich nie zamierza pozwolić rządowi na prowadzenie polityki zamrażania cen. Właściciele najbardziej dynamicznych gałęzi przemysłu widzą lepsze interesy w korzystnych inwestycjach na kontynencie, niż w ratowaniu słabo rozwiniętych rejonów kraju. A jak wiadomo brytyjska gospodarka cierpi na wiele specyficznych schorzeń. Najcięższym jest nierównomierny rozwój różnych rejonów kraju. Kwitnące w minionym stuleciu centra przemysłu węglowego, stocznownego, metalurgicznego i włókienniczego stopniowo traciły swoje znaczenie, poczynając od końca I wojny światowej, w związku z masowym zamykaniem kopalni i rozwojem przemysłu tekstylnego w Azji. A później z powodu kryzysu lat trzydziestych. W czasie I wojny światowej ze stoczni Clyde (Glasgow) spływały najlepsze okręty brytyjskiej floty wojennej. Dziś 50 proc. stoczniovców w Clyde nie ma pracy. Tradycyjna niechęć dopuszczenia rządu do kontroli sektora prywatnego, brak planowania nawet na najbardziej skromnym poziomie doprowadziły do kompletnego zastoju, który w konsekwencji spowodował ciężkie następstwa socjalne i polityczne.

JERZY CZECH

- ★ Na linii Waszyngton — Moskwa
- ★ Wcześniejsze wybory w W. Brytanii
- ★ Żegluga na Kanale Sueskim jeszcze w br?

Przed miesiącem, na tym miejscu, pisaliśmy o nadziejach, jakie łączy się w kołach politycznych ze wznowieniem rozmów radziecko-amerykańskich na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych. Przed kilku dniami oficjalnie zakomunikowano, że SALT II rozpoczyna się w Genewie 19 lutego. Ogłoszenie tej informacji poprzedziła wizyta min. A. Gromyki w Stanach Zjednoczonych, gdzie konferencja na najwyższym szczeblu. W rezultacie obu tych wydarzeń wzrosło zainteresowanie trzecim spotkaniem Nixona z Breżniewem, które tym razem odbędzie się na terenie Związku Radzieckiego — najprawdopodobniej latem.

Dość powszechnie przypuszcza się, że kulminacyjnym punktem tegorocznych rozmów będzie osiągnięcie nowego porozumienia, wynegocjowanego w czasie SALT II, jak piszą Reuter i AP. „Jeszcze ważniejszego” niż poprzednie. Sądzi się również że tematem rozmów może być Europejska Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy oraz redukcja sił zbrojnych i zbrojeń, w Europie. Z tematyki bilateralnej przewiduje się, że najważniejszą miejscą zajmie wymiana handlowa,

która od 1970 roku wzrosła siedmiokrotnie oraz współpraca na polu nauki i kultury.

Jeśli wierzyć doniesieniom zachodnim — moskiewską podróż Nixona poprzedzi miałyby odwiedzenie Europy zachodniej. Niektórzy komentatorzy wiążą jednak ostateczną decyzję w tej sprawie z przebiegiem waszyngtońskiej narady konsumentów ropy naftowej, zaproponowanej, jak pamiętamy, przez Nixona i zwołanej na 11 bm.

W kalendarzu ważniejszych rozmów między Wschodem i Zachodem wymienia się też spotkanie L. Breżniewa z G. Pompidou oraz wizytę min. Gromyki we Włoszech.

Gdyby wszystkie te przewidywania się spełniły — najbliższe miesiące wypełnione byłyby serią ważnych dla odprężenia rozmów.

Przejdźmy jednak do bieżących dni... Za pewnego rodzaju niespodziankę trzeba uznać przedterminowe rozpisanie wyborów w W. Brytanii. W piątek proklamacją królewska rozwiązana została Izba Gmin i tym samym Anglia wkroczyła w okres przedwyborczy. Kampania będzie krótka, gdyż

termin wyborów wyznaczono na 28 bm.

Kiedy powyżej napisaliśmy, że było to niespodzianką — nie mieliśmy na myśli sytuacji społecznej i politycznej W. Brytanii, ta już dawno pozwalała przypuszczać, iż gabinet Heatha nie doczeka kadencji. Zaskoczeniem było to, że jeszcze przed miesiącem przywódca Partii Konserwatywnej cofnął się przed taką decyzją. Co więc zmieniło się w tym czasie?

Przysłowiową kropką było to, że ponad 80 proc. górników opowiedziało się za podjęciem strajku. Domagają się oni podwyżki płac i protestują przeciwko nieustępliwości w tej sprawie konserwatywnego rządu.

Trzy i półroczny okres rządów konserwatystów przyniósł wyraźne pogorszenie sytuacji mas pracujących. W tym czasie np. ceny żywności zwiększyły się prawie o połowę. Równocześnie bilans handlu zagranicznego stale się pogarszał, w br. sięgając suwny 2,5 mld funtów deficytu. Tak więc nie spełniło się nie z przedwyborczych zapowiedzi. Ten fakt nie daje dużych szans partii Heatha, chociaż rozpisanie przedterminowych wyborów nie uważa on za abdykację, lecz zwrocenie się do narodu o nowy mandat. Nie spekulując, kto z nowych wyborów wyjdzie zwycięzca, można już dziś powiedzieć, iż będzie on miał nowe obojętne. Gdyby bowiem zwycięstwo odnieśli konserwatyści ich rząd będzie w Partii Pracy — jej gabinet może pójść dalej w programie socjalnym, niż przed laty. Dlatego wybory będą interesujące.

Z wysp brytyjskich przeniesmy się na Bliski Wschód. Przede wszystkim po to, aby odnotować, że trwa właśnie trzeci etap rozdzielania wojsk egip-

skich i izraelskich. Do 21 bm. oddziały izraelskie mają się całkowicie wycofać z zachodniego brzegu Kanalu Sueskiego. Zgodnie z planem rozdzielanie wojsk obu stron pozwoliło przystąpić do oczyszczania Kanalu z min i materiałów wybuchowych. Operacja ta ma trwać 6 miesięcy. Równocześnie podjęto prace rozszerzające kanał. Zapowiedziano, że żegluga będzie możliwa wznówić przed końcem roku, jeśli tylko zarysuje się niezbędny postęp w całokształtym uregulowaniu konfliktu arabsko-izraelskiego.

Doniesienia z rejonu bliskowschodniego są więc optymistyczne.

Tymczasem w Polsce z oficjalną wizytą przebywał premier Libii — A. S. Dżallud. Przemawiając na spotkaniu w pałacu Rady Ministrów stwierdził on m.in., że naród arabski walczy o „realizację hasła prawdy, wolności i socjalizmu” i że będzie ją kontynuował „aż do osiągnięcia swoich celów”. Jednym z nich jest przywrócenie praw arabskich narodu Palestyny.

Przegląd aktualności zakończmy podkreśleniem, że szerokim echem na naszym kontynencie odbiła się wizyta w Warszawie arcybiskupa Casaroli, „papieskiego ministra Spraw Zagranicznych”. Londyński „Financial Times” pisze na przykład, że zarówno ta wizyta, jak i wysłanie przez papieża na emeryturę kard. Mindszenty'ego jest przejawem nowej polityki wschodniej Watykanu. W Warszawie — pisze włoski dziennik „Corriere Della Sera” — „szuka on porozumienia ze światem socjalistycznym”.

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

...w którym nigdy deszcz nie padał i gdzie ratusz ulepiony był z cynfolii, co dzień rano kolorowy kram rozkładał, potargany stary handlarz parasolek... — tak się zaczynała popularna niedługo piosenka Janusza Słowikowskiego o parasolkach. Minęły lata — Janusz zginął tragicznie na mazurskich jeziorach, a jego młodszy brat, który z wysokości tapczanu przyglądał się naszym rozmowom (było to w starej kamienicy przy ulicy Strzelecka) — dziś pisze do „Odgłosów” recenzje teatralne. Minęły lata — piosenkę czasem tylko przypomni Maria Koterbska, a przecież w tym przebiegu sezonu końca lat pięćdziesiątych jest coś więcej niż urok modnego niedługo szlagieru. Jest w tej piosence prawda — trochę gorzka, lecz uniwersalna prawda o tym, jak łatwo umykają nam z pola widzenia wartości istotne, potrzebne... I dopiero deszcz uświadamia, że potrzebne są parasolki, że stary handlarz przed ratuszem prezentował wartości, których nie trzeba było lekceważyć.

W PEWNYM MIEŚCIE

Piosenki oczywiście nie są po to, aby się z nich uczyć madrze — ale wielu mogłoby wyciągnąć z „Parasolek” Słowikowskiego wnioski bardzo przydatne. Nawet jeśli w podtekście tej piosenki nie było nic więcej jak stara prawda o tym, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

W pewnym mieście ukazała się książka, a potem zrealizowano film ukazujący to miasto i ludzi, którzy pracując zawodowo dobijają się z uporem cenzuru wykształcenia. Książka i film przeszły bez echa — autor nie otrzymał nawet Honorowej Odznaki, nie mówiąc już o tzw. dobrym słowie.

Potem — uznając społeczne walory książki i filmu — wyróżniono autorów. Nie w pewnym mieście. W stolicy. Potem w ogromnej fabryce zorganizowano dyskusję nad problemami zawartymi w filmie. Nie odbyło się to w pewnym mieście — lecz w stolicy.

Takich przykładów jest zresztą więcej. Był w tym mieście kwartalnik, ukazywał się do brzojowej parę lat i wszyscy narzekali, że jest to wydawnictwo

bardzo niedobre. Miał jakiś czas od chwili, kiedy kwartalnik przestał istnieć — i wielu ludzi zaczyna rozumieć, że te kilkanaście tomów wydawnictwa było bardzo cennym, bardzo istotnym dokumentem kultury tego miasta; że w tych kilkunastu tomach kwartalnika zawarto ogromny materiał na temat kultury i nauki tego miasta...

Niestety, w czasie, kiedy na straganie prezentowano „parasolki”, nikt w nich nie umiał dostrzec istotnych wartości.

W pewnym mieście żył i zmarł przed paroma laty wybitny pisarz — twórca kierunku poetyckiego, który w literaturze polskiej pozostanie na zawsze. Był z wykształcenia pedagogiem i w swojej działalności pisarskiej był także wychowawcą i przewodnikiem wielu poetów. Kiedy żył, wciąż potykał się o małość i podłość ludzka, kiedy umarł — jego imieniem nazwano szkołę... Nie, nie w tym mieście, tylko zupełnie innym.

A teraz historia z zupełnie innej beczki. Oto wszystkie wojewódzkie miasta przygotowały swoje prezentacje w „Panoramie XXX-lecia”. Najwięcej

mówi się o Lublinie, bo po prostu Lublin startuje pierwszy. Tak więc Lublin w „Panoramie” prezentuje siedemdziesiąt imprez. Z wypowiedzi publikowanych w pewnym mieście doliczyłem się... siedmiu planowanych imprez.

Lublin nie zapominał o rozrywce, która przecież towarzyszy nam w życiu, towarzyszyła zresztą zawsze, od piosenek „Autobus czerwony” do aktualnie modnych przebojów. W pewnym mieście o rozrywce zapomniano, choć stanowi ona istotną wartość masowej kultury.

Doszło nawet do takich dziwnych sytuacji, że zespoły wokalne-muzyczne „En face” i „Dwa plus jeden” będą w „Panoramie” reprezentowały... województwo katowickie, choć działają w pewnym mieście a nie w Katowicach.

Czyż można więc opowieść Janusza Słowikowskiego o wartościach potrzebnych, których nie chcemy dostrzegać — traktować tylko jako przeboję sezonu sprzed lat? Przecież ta ballada jest wciąż aktualna. W pewnym mieście — rzecz prosta.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM OKIEM

SKOŃCZYŁ SIĘ KWITARIUSZ!

Pewien czytelnik „Polityki” skarżył się niedawno w liście do redakcji, że wysłał do Banku PKO odpowiednią sumę w dewizach na zakup samochodu po czym zbyt długo jego zdaniem — czekał na kupiony tą drogą wóz. Mniejsza o daty i terminy. Ważne wydaje mi się to, że Bank PKO wyjaśnił na lamach tejsze „Polityki”, że zamówienie klienta przekazał do Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego „Pol-Mot” zgodnie z przepisami, tyle że z pewnym opóźnieniem, z powodu... braku druczków zamówieniowych, które to druczki z kolei powinien był bankowi dostarczyć „Pol-Mot”. „Bank nie może ponosić w tej sytuacji odpowiedzialności — itd.” — czytamy w wyjaśnieniu.

Nie wykluczone, że „Pol-Mot” nie przysłał druczków, bo go o to nie proszono, a prosić należało odpowiednim wypełnionym formularzem, którego „Pol-Mot” nie otrzymał, bo mu bank nie przysłał, bo nie dostał formularzy do „Pol-Mot’u. Co za używanie dla Parkinsonów! To nie jest wyjątkowy wypadek, to jest zjawisko: nie nie znacząca, znikoma, śmiechu warta przyczyna powoduje w topornej biurokratycznej maszynie nieobliczalne skutki i wszystkim wydaje się wydawać, że tak musi być! Nie sprzedamy pani jarek, bo nie mamy druczków paragonowych. Nie przyjmujemy białizny do prania, bo skończył się kwitariusz. Zamykamy kawiarnię, prosimy się wynosić, bo kordek się spalił. Pochłaniając prekoszty i wuzetki, garściami pochłajcie w gazetki i piururki — korki spalone! Druczki nie przysiane!

Czy zdarzyło się kiedyś, żeby korzonkowcy i reumaty, ale zawsze znajduje się jacyś niezadowoleni. Nie zawsze jednak musi się w to anażować budżet miejski i wewnętrzny rachunek PZU. Oby tylko druczki wszędzie były na czas!

ĆWIEK



Każdy z nas jest wędrownikiem. Życie też jest podróżą. Jest to zapewne podróż najważniejsza, a wszystkie inne podróże, w które z takich czy innych powodów się wycieczkami, są wobec niej wycieczkami do podmiejskich lasów, do Młocin, do Kolumny, do Lagiewnik... Trwają krócej lub dłużej. Wracamy z tych wycieczek do zwykłej codzienności, albo zostajemy tam, gdzie początkowo zostać wcale nie zamierzaliśmy. Z podróży zwanej życiem nie wraca się nigdzie. Stacja, do której dojeżdżamy, jest wielką niewiadomą, a być może, że z jej to inspiracji tak usilnie krzątamy się pośród naszej powszedniości. Ta niepewność, czy owa stacja KRES jest stacją docelową czy też jedynie miejscem przesiadki w kierunku w stopniu zasadniczym nasze zachowanie się na trasie, niezależnie od tego, czy zdejmy sobie z tego sprawę, czy nie.

Ala w każdej podróży, a zatem i w podróży zwanej życiem, jest jeden przynajmniej taki moment, w którym przystajemy i spoglądamy za siebie, wstecz na drogę przebytą. Zdarza się, że budzi się w nas nagłe pragnienie powrotu, bo zabaczyliśmy coś, czego przedtem nie zauważaliśmy wcale, lub widzieliśmy nie dość wyraźnie, nie dość ostro; że to coś z innej perspektywy nabrano innych konturów. I pragniemy wrócić. Ludzie, którzy wędrowali wiele, którzy poznali smak wielu szlaków, wiedzą, że wracać nie wolno, bo powroty takie są powrota mi do popiołów, pogonią miraży. Zdarza się też, że wędrowiec, który popatrzył wstecz, ujrzy coś,

co sprawi, że oczy jego staną się nagłe puste, twarz pokryje bladeść lub rumieniec wstyd, lub zmieni się w maskę tragiczną. I wędrowiec ten albo czym prędzej puści się w dalszą drogę, może z oczyma wbitymi w ziemię, albo i nie, albo... Albo wstał się z podłogi nie czekając aż ten stanie na jakiejś stacji; albo wstał od ogniska i zaczęło się przed siebie w zieloną otchłań podzwrotnikowej dżungli lub w bezmiar polarnego śniegu; albo wstał po prostu od stołu, przy którym jadł kolację z żoną, wydzie do drugiego pokoja i z ciała swego zrobi bezwładne wahadło; albo...

Z każdej podróży pozostają jakieś pamiątki. Jakies drobniaki pozornie bez znaczenia, które, gdy się je weźmie do ręki, prowadzą nas do wyobraźni jak dziecko na spacer. Mam ich mnóstwo. Każdy z tych przedmiotów dziwnych, niezwykłych, drogowych, tandetnych, brzydkich i pięknych kryje w swoim cieniu jakąś opowieść, ma swoją opisaną w mej pamięci historię. Są to historie banalne i niecodzienne, małe i duże, tajemnicze, żujące włos na głowie, groźne, także śmieszne, pogodne i smutne. Są historie kolorowe: złociste jak zboże w pierwszych dniach upalnego sierpnia, zielone jak młoda wiosenna trawa, srebrzyste jak łuska dopiero co złowionej ryby, czerwone jak zachód słońca, jak krew na skórze, perłowe jak wnętrza muszli, czarno-brązowe jak oczy pewnej Bulgarki... Są historie zapisane samymi dźwiękami: dzwonieniem ostrzonej kosy, odległym gwizdem lokomotywy w nocy, szmerem wody w strumieniu i wściekłym rykiem oszalonego oceanu, krzykiem śmiertelnie ranego ptaka...

Spośród przedmiotów-pamiątek, przedmiotów-fetyszy, przedmiotów, które zdążyły już nabrać własności magicznych jest wiele takich, które chronię specjalnie, trzymam osobno. To wszystko, co wiąże się z nimi, chce zachować uważnie nie roniać żadnego szczegółu, żadnego drobiazgu. Znajduje się wśród nich odłamek rafy koralowej z Archipelagu Salmóna i butelka po wodce, którą wypitem z Broniewskim na plaży między Sopotem a Jelitkowem; tandetne lusterko o odwrócenie kolorów dziewczyna o długich nogach i imieniu Maria wdrapała szpilką do włosów dwuwiersz: Poświęcam, smutna Maria, zwierciadło Wenerze: Jakam jest, widzieć nie chce, jaka byłam, nie może... i ciężki nóż, który pewien lajdnak chciał koniecznie wsadzić mi

między zębra; jest skórzany, wojskowy pas — jedyna rzecz, jaka została mi po moim przyjacielu, który przeszedł spod Lenina do Berlina i zginął trzy lata po wojnie rozstrzelany przez niemiecką mowę w tym samym dniu, w którym urodził mi się syn; jest też zegarek żelazny z niebieskim cyferblatem, taki, jakich używali francuscy górnicy, a który to zegarek dostawałem wiele lat temu od proboszcza z beskidzkiej wioski, który pół życia spędził w kopalniach Alzacji i który lubił jeść raki nade wszystko i lubił też łowiąc je rekami, podwijał sutanę i broził po wodzie na cienkich, białych nogach, upstrzonych błękitnymi plamami i tak go pamiętałem i tak go chcę pamiętać, jak stoł w strumieniu długi, chudy i czarny, na cienkich białych patykach, z rakiem uszepiotanym u pała, jak się temu rakowi z uwagą przygląda i widzę go jeszcze potem, jak przy szklance jeziorówki opowiada z miną prowincjonalnego aktora najsrośniejsze kawały po hebrajsku, jak mówi mi z twarzą bladą z rozpacz i żalu o obrazach Modiglianego, które widział, a których już nigdy nie zobaczy, bo, o ironio losu, toczył go parsywy stwór od środka, wyniszczał i zżerał; mam też tam książkę, którą podarował mi inny mój przyjaciel, książkę napisaną przez niego, a dedykacja na niej jest taka: Na pamiątkę pływacza — a to dlatego, że poznałem się z nim w Toruniu, w jakiejś knajpie, gdzie bankietowali sami lekarze przybyli tam na jakiś zjazd, a my, cośmy stali pod drzwiami i usiłowaliśmy dostać do środka, bo pragnęliśmy przysiąść nad wodą, dusiło nas i meczyło, wpadliśmy nagłe na pomysł, że on jest ginekologiem a ja laryngologiem i w ten to sposób weszliśmy do środka i pilsiśmy przez całą noc z doktorami, ale właściwie pilsiśmy ze sobą i do siebie, poeta z wólcęgą i potem dostawałem od niego tą jego książkę, z której był widać dumny i z której ja byłem dumny i chociaż mam wszystkie jego książki, które napisał potem, tamtą trzymam osobno, bo jest mi najbliższa.

I mam takich drobniaków całe mnóstwo i życie moje zdaje mi się być przez nie dłuższe i bogatsze.

A że miałem właściwie prawo być na tym bankiecie lekarzy, może zaświadczyć o tym nóż fiński, jaki przechowuję wśród swoich rupiec, a którym to nożem dokonałem pierwszej i jak dotąd jedynej w swoim życiu operacji, a mianowicie obciąłem palec pewnemu góralowi. Miałem wtedy 15 lat i z kumpłami często

wypuszczałem się w Beskid. Pewnego razu spaliliśmy w schronisku na Markowych Szczawinach pod Babią, była to nasza ostatnia noc w górach i rano mieliśmy zejść czarnym szlakiem do Zawoi i wrócić do nudy szkolnych zajęć. Pamiętam, jedliśmy akurat kolację, kiedy jakiś chłop z okrwawioną ręką podszedł do nas pytając czy nie mamy bandaża i jodyny, bo sobie palec skaleczył siekierą. Mieliśmy, a ponieważ ja nosiłem apteczkę, siłą rzeczy mnie przypadał obowiązek sanitariusza. Obejrzałem rękę — keiuk był prawie odbrany, dyndał na kawałku skóry. Nie wyobrażałem sobie, że można to złożyć do kupy. Góral też sobie tego nie wyobrażał. Operacja odbyła się w kuchni. Ścisnąłem góralowi paskiem ramię pod łokciem i fińskim nożem na stolnicy amputowałem mu palec, zalałem jodyną, zabandażowałem. Położyliśmy górala do łóżka, a rękę przywiązaliśmy mu do łoka, wbiłem w ścianę, żeby krew mijała. Połem kumpł musieli zająć się mną. Po „zabiegu” ze mdłatem niechlubnie. Nóż fiński mam schowany głęboko w szufladzie. Heheko białe go do ręki, przypomina mi się Bursa:

Miałem blyszczący fiński nóż Bawola blym nim zabił Gdy zmierzch podmiejskich śiega wzgórz

Dobrym był z szuflady.

W kąciach flechtów wieczór już Lśni jak perleczka krawwa Układkiem z rdy wycieram nóż I między bajki wkladam.

Jakie jest o Miłości imię mej miłości? Przychodzę widzę umywalnie szpilkę

GLOBTROTTER

Gwałt na widowni

Występ japońskiej trupy, Tenyo Sanyki Troupe w Warszawie okazał się w rezultacie imprezą tak sensacyjno-kryminalną, że zamiast krytyków teatralnych obowiązek pisania recenzji z tego spektaklu przypadł w udziale sprawozdawcom sądowym. Bądź co bądź zdarzyło się to chyba po raz pierwszy w historii teatru, ażeby aktor, sfrustrowany brakiem aplauzu ze strony widowni, rzucił się na publiczność i zaczął dusić oraz rozbić do naga pierwszą z brzozy ofiarę. Dotychczas artyści bulwersowali publiczność raczej pięknym słowem lub gestem, lecz nigdy przemocą fizyczną. Być może zgnuśniali widowni należeli się taki wstrząs.

Dyrektor japońskiego ansamblu oświadczył jeszcze przed spektaklem, że dla niego „wszystkie środki są dobre”. Ja mu wierzę. Zresztą sztuka wymaga ofiar i cierpienia. Teatr od wieków zadawał widowni gwałt na duchu, a teraz widocznie nadszedł wreszcie czas, aby doprać się i do jej ciała.

Najskuteczniej przekonała się o tym niejaka Barbara K., młoda dziewczyna, która za namową kole-

żanki udała się do Teatru Rozmaitości na ów przeklęty musical pt. „Nuta ślepa”. Jako stała pracownica teatru „Baj”, panna Barbara K. przywykła do grzesznych bajeczek dla dzieci. Nic więc dziwnego że dostała szok, kiedy rzucił się na nią ze sceny japoński artysta i obeszłaładziwym chwytym judo zaczął wyłuskiwać ją z blustonosza. Gdy dziewczyna stanęła już przed zaciękwioną widownią nagą do pasa, wtedy artysta postanowił zdiagnozę jej również spodnie. Ale to już nie była bajka dla grzesznych dzieci. Choć prawdę mówiąc, męska część publiczności przyjęła rzecz raczej z zadowoleniem, żeńska część tylko nieco była wystraszona przetębiem zająca.

Ja na przedstawieniu nie byłem, ale znalazłem się za to na sali sądowej, gdzie odbył się niejako epilog całego dramatu. Barbara K. oskarżyła bowiem organizatorów imprezy o odszkodowanie za straty, jakich doznała w teatrze na duchu i ciele, zwłaszcza na ciele. Wysokość tych szkód oszacowała na 10.000 zł.

Pierwsza rozprawa odbyła się 26 stycznia br. przed Sądem Powiatowym w Warszawie. Punktualnie o godzinie 12 wpuszczono na salę 20 osób, w tym trzech Japończyków i Antoniego Słonimskiego. Wysoki Sąd był bardzo niski, rzekłbym eteryczny i sympatyczny i mimo młodego wieku — bardzo poważny. Powódka, młoda krzepka blondynka, miedziąca na widok japońskich gości. Ale to nie byli ci sami Japończycy, co gwałtili, lecz jacyś zupełnie inni. Dowiedziałem się od nich, że w Azji ta sama sztuka wystawiana jest w formie o wiele łagodniejszej. Widocznie japońscy artyści doszli do wniosku, że Europie były czym się nie imponuje. Wiadomo, na gościnnych występach takich jest bardziej awangardowy niż u siebie w domu.

Pozwani w tej sprawie to dyrektor Teatru Rozmaitości i Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. ZSZP przysłał na rozprawę swego radcę prawnego, zaś Teatr Rozmaitości reprezentował sam dyrektor Jarecki, wspierany przez wytrawnego kauzypercę. Adwokatem powódki była ruda dama o wyraźnym nadmiarze sił witalnych i profesjonalnych. Sama rozprawa, jak to zwykle w sądzie, nudna i nieciekawa. Najkrwawszy dramat potrafił przedwieść jurysci przelozony na suchy język paragrafów i wytrawić z żywotnych soków ludzkiej mowy.

Dyrektor Jarecki domagał się, ażeby Sąd odpowiedzialny na pytanie, do jakich granic może posunąć się teatr w swym oddziaływaniu na widza. Chodziło mu prawdopodobnie o to, czy wolno już legalnie bić widzów, a jeśli tak, czy do pierwszej krwi i czy wszystkich, a może od pasa w górę, albo w dół i tylko wytypowane jednostki, czy można też flekować, katować, bić kijem, pięścią w ucho w oko, w szczękłę itd. W sumie dyrektor Jarecki wykazał dużą troskę o percepcję współczesnych sztuk nowoczesnego teatru.

To chyba całkiem jasne, że jak widzę dostanie po mordzie, to sztuka wyrwie na nim większe wrażenie. Dlatego też wcale się nie zdziwiłem jak Sąd odroczył sprawę, a powódkę wysłał do psychiatry na badanie. A swoją drogą najbardziej ciekawie jest dziś oglądać teatr w telewizji.

KAROL BADZIAK



TRUDNY POWRÓT

Wydawnictwo Łódzkie doczekało się wreszcie swojej pierwszej powieści...

Bolesław Hanicz-Boruta, dził podpułkownik w stanie spoczynku...

Halina Auderska: „Jabłko granatu”, Wydawnictwo Łódzkie 1973, Wydanie II, cena zł 17-

WSPOMNIENIA KONSPIRATORA

Bolesław Hanicz-Boruta, dził podpułkownik w stanie spoczynku...

Bolesław Hanicz-Boruta: „Wspomnienia dowódcy III Brygady AL”...

„ZCZĘŚLIWA AUSTRIA”

Znakomity znawca literatury niemieckiej Stefan Lichanski...

Na uwagę zasługuje także to, że większość utworów zamieszczonych w antologii...

Zadziwiała tylko, że ta rewelacyjna książka ukazała się w...

... tu felix Austria... Antologia noweli austriackiej XX wieku...

WIADOMOŚCI Z TAMEGO ŚWIATA

Krzysztof Teodor Topolitz, naczelny „Szpilek” wytrwały znawca...

Krzysztof Teodor Topolitz: „Wiadomości z tamtego świata”...

GENERALOWIE

W przededniu doświadczenia Hitlera do władzy ogłoszono Theodor Pilewera...

Theodor Pilewera: „Cesarz odszedł, generalowie zostali”...

WARTO PRZECZYTAĆ

- Aleksander Świętochowski - „Wybór pism krytycznych...”
Archiwum rubru robotniczego, KIW, cena 150 zł.
Wczoraj i dziś - antologia opowiadań pisarzy polskich...

FILM RZYM FELLINIEGO

W oryginalnym film ten nazywa się „Fellini-Roma” i tylko taki jego tytuł ma sens...

Obraz Wiecznego Miasta jest więc w tym filmie prywatną własnością Federica Felliniego...

Film ten nazywają potocznie dokumentem, lecz z okoliczności tego zastrzeżenia...

Film ten k nymu - metode stosowana przez Felliniego w dwóch wczesniejszych, a nieznanych u nas filmach...

TELEWIZJA O TEATRZE PO RAZ WTÓRY

Pisanie o teatrze TV jest dla recenzenta rodzajem luksusu. W każdy, poniedziałek ożywiają się jego nadzieje...

Widząc w nim maestri dramaturgię Kruczkowskiego, który potrafił formułować w swoich utworach dramatycznych...

Sądze, iż estetyczne niedostatkami „Hamleta” uległy pełnej demaskacji na prawach kontrastu...

PLASTYKA OD MANETA DO POLLOCKA

Ukazania się „Arkadach” (w koprodukcji z wydawnictwem „Tatran” w Bratisławie) publikacja ważna i potrzebna...

Ukazania się „Arkadach” (w koprodukcji z wydawnictwem „Tatran” w Bratisławie) publikacja ważna i potrzebna...

W oryginale film ten nazywa się „Fellini-Roma” i tylko taki jego tytuł ma sens...

Obraz Wiecznego Miasta jest więc w tym filmie prywatną własnością Federica Felliniego...

Film ten nazywają potocznie dokumentem, lecz z okoliczności tego zastrzeżenia...

Film ten k nymu - metode stosowana przez Felliniego w dwóch wczesniejszych, a nieznanych u nas filmach...

Widząc w nim maestri dramaturgię Kruczkowskiego, który potrafił formułować w swoich utworach dramatycznych...

Sądze, iż estetyczne niedostatkami „Hamleta” uległy pełnej demaskacji na prawach kontrastu...

Widząc w nim maestri dramaturgię Kruczkowskiego, który potrafił formułować w swoich utworach dramatycznych...

Sądze, iż estetyczne niedostatkami „Hamleta” uległy pełnej demaskacji na prawach kontrastu...

W ten sposób każdy malarz został niejako umiejscowiony w własnym „momencie artystycznym”...

W lirycznym pamiętniku, który może, eseju Felliniego jest również miejsce na wielką, urzekającą i wstrząsającą metaforę...

EWA NURCZYŃSKA

a zdemaskowanie poży moralnej staje się w jego interpretacji tradycją świadomości...

Zajmując się formalną stroną „Niemców” celowo nie wspominał o ideologii tej sztuki...

Postacie zdecydowanie dookreślone w tekście zyskują w tym przedstawieniu doskonałe wcielenia aktorskie...

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

W ten sposób każdy malarz został niejako umiejscowiony w własnym „momencie artystycznym”...

A. GRUN

MAGAZYNEK

SĄ SKRZYDŁA!

Po projekcji filmu „Na niebie i na ziemi”, jeden z widzów wzbił się lekko w powietrze i przez chwilę krążył po niebie, powiewając jestonąką. Po łagodnym lądowaniu oświadczył zadowolonym przechodniom, że to film dał mu skrzydła. Zdumione lecz nie zaskoczone Kierownictwo Nszej Kinematografii bacznie obserwuje teraz wychodzących z kina widzów. Gdyby nadal rosły im skrzydła, planuje się uformowanie hufca husarii, jakże przydatnego

przy realizacji filmów historycznych.



Z OSTATNIEJ CHWILI
W łódzkiej kinie „Bałtyk” przeprowadzono już pomysły

nie pierwszą fazę remontu, to znaczy zgaszono światło na widowni. Po oswojeniu oczu z ciemnością, ekipa remontowa przystąpiła do dalszych czynności. Projekt pracy przy zapalonym świetle ale z związanymi oczami odpadł ze względu na możliwości podglądania.

MILA NIESPODZIANKA

Pan Zenon P. ze Zduńskiej Woli po obejrzeniu filmu Kurosawy zastał w swoim domu samuraja. Samuraj tłumaczył się niezdarnie, że wpadł ot, tak, na chwilę, między jednym a drugim seansem. Pan Zenon P. chciał godnie przyjąć swego gościa ale samuraj szybko pożegnał się i wrócił na ekran. Nazajutrz pan Zenon P. opowiedział o swojej przygodzie w pracy. „Samuraj

samurajem — przerwał mu majster — a pracować trzeba!”. Oburącz podpisujemy się pod wypowiedzią majstra.

CZY MASZ BALKON?

Jeśli masz balkon w swoim przytulnym mieszkanku, to usiądź przez chwilę i pomyśl. Nie żałuj czasu na to myślenie. Gdy poczujesz, że już coś wymyśliłeś (a to się czuje, o, czuje) wyjdź szybko na ten balkon. Wolno i dobitnie wykrzycz w przestrzeń swój pomysł. Zaraz Ci się zrobi. A może usłyszysz Twoje wołanie spacerujący reżyser filmowy? I to wołanie go zapłodni. A potem w kinie z dumą będziesz mógł powiedzieć do żony: „Ten film to mój pomysł! To ja pierwszy wykrzychałem go z naszego balkon!” I widząc dumne spojrzenie żony poczujesz, że nie zmarnowałeś życia. I pokochasz swój mały balkonik.



Fot. W. Parys

POWIĘKSZENIA

JEZUS MARIA — JOZEF!

Józef Pięta zobaczył zakatarzoną stewardeskę i napisał w „Dzienniku Łódzkim”: „To była Hinduska, kobieta, prosto mówiąca: Jezus Maria”.
I dalej: „Hinduska hostessa, leczona w amerykańskim samolocie, na hinduskich liniach lotniczych po angielskim stolek przez polskiego dziennikarza pabianięką popłyrną. Zwarować można!”
Rzeczywiście.

ŚLON W „BARWACH”

Mazowieckie „Barwy” z lutego br. wymyśliły takie zdanie: „Dokonane ostatnio podwyżki cen na benzynę i napoje alkoholowe nie każdemu przypadły do gustu. Zwłaszcza ludziom o pełniejszych niż u innych kieszeniach. Trzeba jednak bez ostentacji powiedzieć, że tych „niezadowolonych” jest w naszym kraju znikoma mniejszość...”
Wyszło z tego, że ludzie o pełnych kieszeniach stanowią w Polsce „znikomą mniejszość”. Zrezygnujcie publicyści przypomnia stonia w składzie porcelany.

ZACZNE TANCE...

Redakcja „Magazyneku” próbowała z „Expressu Ilustrowanego” nauczyć się „walca angielskiego”. Na razie opanowaliśmy „normalne” trzymanie tańca oraz „krok zmienny do przodu od prawej nogi”, czyli — „prawa noga w przód, lewa noga w bok, dosunąć prawa nogę do lewej nogi...”
Nie poszło to wcale tak „błyskawicznie”, jak obiecuje „Express”, ale może po prostu jesteśmy mniej zdolni. Niemniej jednak zacząć naukę tańca uważamy za pomysł szalenie odkrywczy.

Z PROBLEMÓW MATRYMONIOLOGII

Doceniając wagę problematyki „rodzinnej”, tak szeroko podnoszonej ostatnio na łamach prasy, publikujemy dziś wywiad Jacka Fedorowicza z Jeremim Przyborą. Publikacje te razem z bibliografią zaczerpniemy z pracy naukowej doc. dr Witolda Fillera „Uśmiech na matym ekranie” (WAIF, 1971).

Jack Fedorowicz: Czy prawda jest, że na marginesie swoich zajęć zawodowych zajmuje się pan teorią małżeństwa?
Jeremi Przybora: Tak, tylko ja bym to ujął odwrotnie: na marginesie studiów nad teorią małżeństwa poświęcam się moim zajęciom zawodowym Teoria małżeństwa, matrymoniologia, po francusku matrimoniologie, po niemiecku matrimonologie, po angielsku matrimoniology, po rosyjsku...
J. Fedorowicz: Matrimoniologia.
J. Przybora: Skąd pan wie?
J. Fedorowicz: Czytałem „Niewygodne” woprosy matrimoniologii prof. Piszczajewa.
J. Przybora: No właśnie. To pan sam orientuje się, że jest to już dziś dyscyplina wiedzy tak rozwinięta, że nie sposób poświęcić się jej na marginesie innych

zajęć. Więcej panu powiem. Konieczna jest tu daleko posunięta specjalizacja, jak zresztą w każdej innej dziedzinie naukowej.
J. Fedorowicz: Pan się specjalizuje...?
J. Przybora: W dziedzinie teorii zdrady małżeńskiej.
J. Fedorowicz: Ach, tak... To może mógłby mi pan wytłumaczyć taki ciekawy wypadek: znamy mój kochanek bezgranicznie żonę. Nagle, proszę pana, poznał osobę tej samej płci...
J. Przybora: Tej samej płci co — on?
J. Fedorowicz: Nie. Tej samej płci — co żona. I zakochuje się w tej osobie...
J. Przybora: Niestety, tego nie będę umiał panu wyjaśnić, ponieważ nie zajmuję się etykietkami zdrady. To jest znowu jeszcze jedna dziedziną dla jednego umysłu

wła. Ale pozwolę sobie przedstawić panu niekiedy przebiegi bibliograficzne, z którymi musiałem się zapoznać w toku moich studiów, a przekażę się pan, że jednak nie jest to specjalizacja tak bardzo wąska.
BIBLIOGRAFIA
Doc. Ludomir Dybiec „Małżeństwo w okresie wspólnoty pierwotnej. Część I. Wierność zespółowa. Część II. Zdrada z Inną wspólnotą”
Mgr Joanna Mieczysławska „Zdrada małżeńska po pierwszym rodzimie”
Dr Zmysław Karczemny „Wierność małżeńska w dobie nowoczesnego uderzenia”
Pik Kazimierz Groch-Nawała „Integracja małżeństwa na przykładzie a dekomercja jednostek wojskowych”
Norbert Burdziejewski „Zahamowanie eskalacji zdrady małżeńskiej przez dokwaterowanie rencistów do osób samotnych”
E. A. Gromkożukow „Krupniejszycie woprosy matrimoniologii”
J. Przybora: Tak by się wyda-

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

ERSKINE CALDWELL

JENNY

— Robiłam same okropne rzeczy... a teraz jest już za późno — powiedziała Betty ocierając oczy rękawkiem. — Od powrotu do Sallisa cały czas postępowałam jak idiotka. Nie wiedziałam, co robię... byłam chyba obłąkana. Musiałam być obłąkana... bo inaczej nie umiałabym się z tymi wszystkimi mężczyznami. Nie wiem, co mnie napadło... po prostu nie mogę wierzyć, że robiłam takie rzeczy. Jak mogłam? Przecież ja nie jestem taka... nigdy w życiu taka nie byłam. Kiedy próbuję teraz o tym myśleć... wydaje mi się, że byłam nieprzytomna z gorączki i nie wiedziałam, co robię. Dlatego tak teraz siebie nienawidzę. Dlatego chciałabym umrzeć. Kiedy pomyślę o tych wszystkich mężczyznach... tak mi wstyd, wstyd! To straszne! Ale nie wiem... nie wiem, dlaczego to robiłam!
Betty umilkła, głęboko odetchnęła i spojrzała na Jenny.
— Nie! — wybuchnęła po chwili. — To nieprawda! Wiem dlaczego. Na złość Monty'emu. — Odwróciła głowę i nie patrząc na Jenny odszukała jej rękę i mocno zaciśnęła na niej palec.
— Kiedy zrozumiałam, że nie będę go miała, coś mnie napadło i chciałam być niemoralna, zła. Starłam się, jak mogłam, być najgorsza... robiłam wszystkie złe rzeczy, jakie mi przychodziły do głowy. Bo musiałam... musiałam go zranić. Oddałabym teraz wszystko na świecie, żeby to cofnąć... żeby to się nigdy nie zdarzyło. Nie chcę być zła... nigdy nie chciałam. Chcę być porządną dziewczyną... i mieć Monty'ego. Ale teraz za późno... wszyscy w mieście dowiedzą się, co robiłam. Monty też się dowie. Usłyszy o wszystkim... pozna wszystkie szczegóły. Co on będzie o mnie myślał teraz?
— Dlaczego Monty i wszyscy w mieście mieliby o tym wiedzieć? — spytała Jenny. — Dlaczego tak przypuszczasz?
Betty opowiedziała jej o telefonie od kogoś, kto wydał się jej zna-

jomy, i o tym, jak pojechała do motelu „Rozkoszne Chwile” i weszła do pokoju, w którym czekał na nią kandydat Clough. Jenny słuchała w milczeniu, dopóki dziewczyna nie opowiedziała jej wszystkiego do końca — o szeryfie Huffmianie i jego zastępcy, o tym, jak w pewnym momencie otworzył drzwi i jak Stanley Prichard po rozmowie telefonicznej z sędzią Raineyem postanowił nie żądać, żeby ją szeryf aresztował.
— Czasem mi się zdaje, że dla dobra ludzkości byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy mieli trochę mniej ludzi na tym cholernym świecie — oznajmiła Jenny uroczyście tonem. — Całe życie żyłoby się dużo przyjemniej, gdyby tak mogła wskazać kilka osób i gdyby się dało je zlikwidować.
— Kręcąc głową nad własnymi myślami i zakładając ręce na brzuchu Jenny rozsiadła się wygodnie.
— W każdym razie to bardzo dobrze, że ktoś miał dość oleju w głowie, żeby zadzwonił do Milo Raineya — powiedziała z aprobatą. — Jeżeli chodzi o takie czy inne kruczki prawne, Milo umie wziąć się do rzeczy, jeszcze jak! Te dwadzieścia lat na fotelu sędziowskim bardzo mu się przydało. Teraz zna na pamięć wszystkie haczyki, jakie mogą komuś przyjść do głowy.
— Ale przecież i tak całe miasto dowie się, co było w motelu — powiedziała Betty.
— Jak gdyby nie słysząc słów dziewczyny Jenny wpatrywała się pustym wzrokiem w czerwone i żółte róże na tapecie po przeciwległej stronie pokoju. Głęboka zmarszczka pojawiła się między jej brwiami.
— I co to człowiek może wiedzieć! — wybuchnęła, jak gdyby dopiero teraz dotarł do jej świadomości sens tego, co zaszło w motelu. Kanciastym ruchem zaciśnęła ręce opasujące żołądek. — Wstyd i hanba, że szeryf Huffman otworzył drzwi pokoju, nawet jeżeli Stanley Prichard go sprawokował. Najlepszy dowód, że nie ma już takiego miejsca na świecie, gdzie kobieta mogłaby się czuć bezpieczna. A co jest jeszcze gorsze w tym wszystkim, to że zawsze znajdują się mężczyźni, którzy chcą aresztować kobietę tylko za to, że jest sobą. Ci sami mężczyźni wyprawiliby najdziksze hece, jakby tak nie mieli kobiety pod ręką, kiedy im nagle przyjdzie na to ochota. Przypominają mi tych ludzi, co chcieliby wybić wszystkie króliki na świecie, ale w zimy mieliby ochotę nosić ciepłe rękawki z królika.
— Ale kto by pomyślał, że kandydat Clough wynajmie pokój w motelu i zatelefonuje do ciebie, żebyś przyjechała? I na dodatek powie, że mu na imię Tom, i tak cię wykołuje, że nie zagnasz, z kim masz do czynienia? Wiedziałam, że mu na imię Tomasz, ale pierwszy raz słyszę, żeby mówił o sobie Tom. Zresztą imię Tom jest jakoś za mało dojrzałe dla duchownego, nawet takiego który jest tylko jednym z tych dewotów z Niezłomnego Krzyża.

Westchnąwszy ciężko Jenny umilkła i zamysliła się. Nie mogła wprost pojąć, dlaczego nie odgadła wcześniej, kiedy Clough przyszedł i groził jej aresztowaniem, jeżeli nie wyrzuci się z Betty. Że on myślał tylko o jednym: co zrobić, żeby przepadł się z Betty.
— To wszystko moja wina, bo nie przewidziałam, że to się zdarzy i nie ostrzegłam cię przed tym człowiekiem — powiedziała, spoglądając na Betty i potrzaskując głową. — Widać nie straciłam cały instyngt, odgadł przeczam na emeryturę. Jest coś, o czym przekonałam się bardzo dawno temu, kiedy byłam młodą dziewczyną, a co tak jest pewne, jak amen w pacierzu. Dlatego kandydat Clough nie jest żadnym wyjątkiem i dotyczy go to w takim samym stopniu, jak pierwszego lepszego mężczyznę, którego spotkasz w drodze do miasta. Kiedy mężczyźni zaswedzi i kiedy ma ochotę trochę się pogimnastykować, dopnie swego, żeby musiał przebrodzić przez nie wiem ile strumieni i przelazł przez nie wiem ile płotów. A nawet jak przemoczy buty i rozedrze o drut kolczasty spodnie na siedzeniu, nie zatrzyma się, dopóki nie zajdzie tam, gdzie miałby ochotę odprawić swoje ćwiczenia gimnastyczne. Kiedy mężczyźni złapie taka gorączka, zachowuje się jak stary kocur w pogoni za kotką i jedyny sposób, żeby go zatrzymać, to wpakować mu kilka kulek z odległości siedmiu stóp. Ale wcale nie jest powiedziane, że jeszcze wtedy nie będzie próbował zakraść się przez okno do twojego pokoju. Mówię ci, że nie na świecie nie dorówna sile woli mężczyzny, kiedy go zaswedzi. Jak będziesz starsza, kochanecko, sama to zrozumiesz.
Jenny umilkła na chwilę i uśmiechnęła się do swoich myśli.
— Ale kandydat Clough! W głowie mi się to nie mieści! Ta mała chuda pokraka! Nie daję jak wczoraj był tu u mnie w domu, taki świątobliwy, że aż strach i żądał, żebym ci wymówiła mieszkanie. A jak go dzisiaj zaswedziło, zwał cię do motelu, żebyś się trochę pogimnastykowała. Jedno jest pewne. Jeżeli przyjdzie to do mnie, jak mu nagadam, że długo będzie pamiętał. Powiem mu kilka słów, od których poskręcają mu się włosy w uszach.

(Fragment)
Tłumaczyła: KRYSZYNA TARNOWSKA

Erskine Caldwell (ur. 1903). Wybitny powieściopisarz i nowelista amerykański. Autor głośnych powieści m.in. „Droga tytoniowa”, „Poletko Pana Boga”. Twórczość Caldwell'a cechuje radykalizm społeczny w powieściach jego znajdującego wiele obrazów naturalistycznych, obok groteski i elementów tzw. F. czarnego humoru.

PRZYJDŹ OBEJRZYJ PRZYMIERZ

W SKLEPACH ŁPTO ZNAJDZIESZ



MODNĄ, ELEGANCKĄ i PRAKTYCZNĄ

KONFEKCJĘ ▼ DZIEWIARSTWO
▼ GALANTERIĘ WŁOKIENNICZĄ ▼
▼ TKANINY ▼

ZAPRASZA
PROPONUJE
DORADZI

ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO
TEKSTYLNO-ODZIEŻOWE



960/3c

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244 79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odłoso”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź ul. A. Czerwonej 28
— 233, C-4. Nr indeksu 37006